ARCYDZIEŁA POLSKICH I OBCYCH PISARZY.

SEWERYN GOSZCZYŃSKI.

KRÓL ZAMCZYSKA

POWIEŚĆ.

OPRACOWAŁ
PROF. DR. MICHAŁ JANIK.

W BRODACH NAKŁADEM I DRUKIEM KSIĘGARNI FELIKSA WESTA.

Geneza utworu.

Po upadku powstania listopadowego główny korpus armii narodowej pod komendą naczelnego wodza, jenerała Macieja Rybińskiego, przekroczył granicę pruską i tutaj w obozie pod Brodnicą dnia 5. października 1831 r. został rozbrojony. Wśród zastępu nieszczęśliwych obrońców ojczyzny znajdował się także Seweryn Goszczyński. Ponieważ pragnął dalej służyć narodowi na ziemi ojczystej, nie puścił się za innymi do Francyi, lecz wybrał się na Poznań do Galicyi, stąd dopiero w maju 1838 r. wyjechał na emigracyą, a po wielu latach 23. kwietnia 1872 r. przybył znowu do kraju, gdzie spędził ostatek życia we Lwowie, otaczany powszechną czcią i głębokiem uznaniem. Stargany w służbie dla ojczyzny żywot zakończył w r. 1876, a śmiertelne szczątki niestrudzonego bojownika idei przykryła rodzona ziemia na cmentarzu Łyczakowskim.

W czasie pobytu w Galicyi zaraz po powstaniu rozwinął Goszczyński ruchliwą agitacyę polityczną, a zarazem oddawał się z powodzeniem pracy literackiej. W r. 1832. zorganizował we Lwowie patryotyczny „Związek dwudziestu jeden“, następnie odbył wycieczkę do Tatr, które natchnęły go do kilku utworów, pisanych wierszem i prozą. W r. 1835. bawił w Krakowie, gdzie należał do twórców „Stowarzyszenia ludu polskiego“ którego emisaryuszem dla zaboru rosyjskiego został szlachetny Szymon Konarski, umęczony w Wilnie w r. 1839. Działanie stowarzyszeń patryotycznych było nie na rękę rządowi austryackiemu, dlatego coraz pilniej zaczął śledzić głównych organizatorów. Wskutek tego dalszy pobyt w Galicyi stawał się dla Goszczyńskiego niebezpiecznym, a ponieważ z powodu rozciągniętego kordonu zdrowia nie mógł poeta przedostać się jako emisaryusz na Ukrainę, wyjechał na zachód, przez pewien czas zatrzymał się w Sztrasburgu, skąd wybrał się ostatecznie do Paryża. Niedługo po przyjeździe

napisał tutaj w r. 1839 allegoryczno-fantastyczną powieść p. n. **„Król zamczyska“**, najdoskonalsze dzieło swoje w okresie po r. 1831, które wydrukowano po raz pierwszy w r. 1842. w Poznaniu (nakładem W. Stefańskiego przy ul. Śto-Marcińskiej nr. 78).

Ideałom młodzieńczym pozostał Goszczyński niezłomnie wiernym aż do końca. Najpierwszym z tych ideałów była wiara w odrodzenie i zmartwychwzbudzenie Polski przez lud, przez oddanie ludowi zupełnej sprawiedliwości społecznej, przez podźwignienie go szczere, doskonałe i wielkoduszne. Jest atoli pewna różnica w wypowiadaniu tych poglądów u Goszczyńskiego. W młodości, w okresie tworzenia „Zamku kaniowskiego“, głosił je z gorącym choć najszlachetniejszym radykalizmem, który przebierał niekiedy znamiona agitatorstwa; w późniejszym wieku pozostał radykalizm, jednakże obleczony w apostolską szatę mistycyzmu, tak charakterystycznego dla naszej myśli narodowej w okresie między oboma powstaniami. „Król zamczyska“ stoi niejako na przełomie tego przeobrażenia, jakie dokonało się w umyśle poety.

Pomiędzy wielkimi poetami doby romantycznej Goszczyński był najpierwszym, który wielkie hasło „zbawienia Polski przez lud“ wypisał z całą świadomością na sztandarze myśli narodowej. Wyprzedził pod tym względem nawet Mickiewicza, który wyraził je bardzo wprawdzie wcześnie, ale dopiero w owej apostrofie o „wieści gminnej“ w pieśni Wajdeloty, a wyraźnie jeszcze nawet później, bo aż w Widzeniu ks. Piotra i w scenie VII. Dziadów (Salon warszawski), gdzie to Wysocki wypowiada pamiętne owe słowa potężnej mocy i niepożytecznej wartości:

„. . . . . Nasz naród jak lawa,
Z wierzchu zimna i twarda, sucha i plugawa;
Lecz wewnętrznego ognia sto lat nie wyziębi...
Plwajmy na tę skorupę, i zstąpmy do głębi!“

Umysł Mickiewicza, zapłodniony przez historyozofią Lelewela w okresie wileńskim, doszedł jednak do najdokładniejszego zobrazowania tych poglądów dopiero wtedy, gdy w Paryżu poznajomił się z naukami Saint Martina i gdy poeta wstąpił na arenę dziennikarską. W każdym więc razie Goszczyński był najpierwszym z wielkich poetów romantycznych, który stał się głosicielem tej najważniejszej dla Polski narodowo-społecznej idei.

Inni wielcy romantycy zamało mieli zdolności praktycz-

nego patrzenia na rzeczy lub też gonili jedynie za marami w królestwie wyobraźni. Zaleski śnił sen przecudny o Matce-Polszczy, królowej Słowiańszczyzny, lub łowił poetyckie odgłosy kozackiej epopei; Słowacki na niedościgłych lotach anielskich swoich skrzydeł marzył o czynie na szczytach Mont Blanc'u, to znów jako Anheli wśród śniegów syberyjskich snuł pajęcze przędziwo żertwy-rojenia, aż nareszcie zapatrzył się w czarodziejskie blaski Króla-Ducha; Krasiński od wczesnej młodości doktryner społeczny, zdawał się szczerze szukać prawdy w Nieboskiej Komedyi, ale rodowe wyobrażenia polityczne pomieściły go na korabiu martwego morza, a owo wyrażenie z Psalmów, aż do przesady powtarzane:

„Jeden tylko — jeden cud —
Z szlachtą polską polski lud!"

— to wyraz najzupełniejszej reakcyi, bo samą nazwą dzieli to, co jednym tylko powinno być narodem i jedną cząstką człowieczeństwa. Wincenty Pol stworzył prześliczną pieśń bojową, dla całego narodu zrozumiałą, ale potem stał się bajarzem ciemności nocnych, bo z czasów saskich przekazanej tradycyi.

Czy mamy prawo osądzać poetów za ich doktryny czy tendencye społeczne. Bezwątpienia, jeżeli pismami swojemi chcieli ziomkom wskazywać kierunki życia politycznego. Sąd taki, charakteryzując kierunek doktrynerstwa, nic jednakże nie waże na szali czysto estetycznych piękności, o ile się one w utworach wymienionych poetów znajdują i o ile z tej właśnie przyczyny w skarbie poezyi narodowej na zawsze zostały pomieszczone. Niemała stąd wszakże chwała i zasługa Goszczyńskiego, że nietylko w krainie poezyi, lecz i w praktycznych swoich poglądach narodowi polskiemu trwałą i tak dawną pozostawił pamiątkę.

Co sprawiło, że Goszczyński wcześniej niż inni poeci doszedł do zobrazowania idei politycznego odrodzenia Polski przez lud? Złożyły się na to najróżnorodniejsze czynniki. Do bardzo ważnych należała tradycya domowa, bo już ojciec poety, Józef, w r. 1794. walczył pod Kościuszką o niepodległość i patrzył na bohaterskie zapasy chłopa polskiego, gdy „starsza brać" w tak pokaźnej liczbie wysługiwała się Targowicy. Na ławie szkolnej zaznajomił się Seweryn z krwawemi wspomnieniami Koliszczyzny i już młodzieńczym umysłem ogarnął te niepowetowane straty, jakie w ojczystej jego Ukrainie poniosła Rzeczpospolita przez wyłączność kastową i wyznaniową

nielicznej garści królewiąt-magnatów i ich zaślepionych adherentów. Młodzieńcem będąc, wszedł w Warszawie w spiskujące koła najgorętszych zapaleńców, którzy olśnili hasłami romantyzmu wyzwolenie ludu i narodu uczynili wyznaniem swojej wiary, a pragnąc wprowadzić ideę jak najgoręcej w krainę rzeczywistości dążyli wszelkiemi siłami do zbrojnego wybuchu, który niestety wskutek braku przygotowania u młodych, a trwogi przed Jakobinizmem u starszych, tak strasznego doznał niepowodzenia.

Po powstaniu bardziej niż u innych zakrwawione serce poety i żołnierza-patryoty ze zgrozą zwracało się do niedawnej przeszłości, kiedy to tyle szlachetnych wysiłków, tyle rozlanej krwi wskutek krótkowidztwa dotychczasowych przewodników narodowych poszło na marne. Gdy na emigracyi poczęły się wzajemne oskarżania, on w kraju stał się emisaryuszem ulubionej i za najważniejszą uznawanej idei. Przebiegał Galicyą wzdłuż i wszerz, robił znajomości, zawiązywał stosunki, szukał zwolenników i współpracowników. W wędrówkach po kraju patrzył na samolubną bezduszność chroniącej swoich przywilejów arystokracyi, u średniozamożnej szlachty widział nieraz gorącą miłość tradycyi, ale zarazem sybarytyzm stanowy, skostniałość wyobrażeń i nieznajomość najważniejszych potrzeb ducha czasu, co wszystko niemałą musiało go napełniać boleścią. Lud wiejski, podówczas jeszcze w niewoli pańszczyźnianej, któremu w Galicyi w różnych przypatrywał się stronach, a szczególniej w Tatrach, przedstawił mu się jako uśpiony olbrzym, bierny i bezwładny. Ocenił jednakże jego potężne zdrowie fizyczne i żywiołową, choć utajoną energię, która do dobrego czynu pobudzoną mogła dokonać niemal cudu, mogła odrodzić politycznie zakutą w kajdany ojczyznę. Tego olbrzyma pragnął przebudzić i szukał żniwiarzy do zbożnej pracy. Zaopatrzony w dalekie cele, żżymał się w tłumionym gniewie, że warstwy dotychczas przewodnie, doprowadziwszy ojczyznę do upadku, nie czują potrzeby ekspiacyi, nie rozbudzają drzemiących potęg, lecz pogrążone w wygodnym sybarytyźmie kastowych tylko bronią interesów, a na drugim planie stawiają dobro ojczyzny. W Sztrasburgu, gdzie spotkał się z późniejszymi redaktorami „Pszonki“, pisma, którego był założycielem wespół z Lesławem Łukaszewiczem i Łucyanem Siemieńskim, utwierdził się, o ile to być mogło jeszcze bardziej w swoich demokratycznych zapatrywaniach. Nareszcie długo

tłumiona gorycz wybuchła serdecznym żalem i wydała na świat niezwykle poetyczną i niezmiernie smutną powieść, która w prostych ale silnych wyrazach odsłoniła ohydną koszulę Dejaniry i pokazała nie piękne kształty człowieka, lecz obrzydliwego, bezdusznego samoluba. Dusza uciekła od narodu i wstąpiła w szlachetnego szaleńca, który głosem wołającego na puszczy, wskazywał, skąd przyjdzie zbawienie dla narodu, a dla nawoływań swoich znajdował szyderski uśmiech wzgardliwego politowania. Przedziwną tą powieścią był „Król zamczyska“, nieprzestarzały do dnia dzisiejszego i zwracający ku dzisiejszym jeszcze pokoleniom melancholią powleczone oblicze, poorane rozterką myśli i skargą zbolałego uczucia.

Ruiny zamku odrzykońskiego, które posłużyły poecie za tło opowiadania, mają znaczenie czysto dekoracyjne, nie stanowiąc, nic prawie o genezie myśli przewodniej. Zdarzenie mogło się odbyć równie dobrze w każdem innem zamczysku, a związanie opowieści z ruinami odrzykońskiemi jest prawdopodobnie tylko wyrazem jakiegoś wzruszającego wspomnienia, doznanego w pięknej okolicy podkarpackiej, a może oznaczeniem miejsca, gdzie wątek literacki zarysował się po raz pierwszy w umyśle poety. Być nawet może, że w okolicy Odrzykonia spotkał Goszczyński człowieka, który go natchnął do stworzenia postaci Machnickiego. Żył tam podobno człowiek, nazwiskiem Machnicki, ale czy był podobny bodaj częściowo do bohatera powieści, powiedzieć tego nie umiemy. Nazwisko samo mogło być poecie i skądinąd znanem, bo jakiś Mąchnicki walczył w powstaniu listopadowem, był może nawet towarzyszem broni Goszczyńskiego. Pytanie, acz bardzo interesujące, nie ma jednak istotnego znaczenia, bo bohater „Króla zamczyska“ to tylko symbol, a powieść o nim, choć piękna sama w sobie, jest tylko allegoryą.

Treść i myśl przewodnia.

Wątek powieści mimo prostoty wysłowienia jest bardzo zajmujący i bardzo poetyczny. Opowiadanie zamyka się w ośmiu ustępach, których treść jest następująca:

I. Machnicki waryat. Autor, kreśląc rzecz w pierwszej osobie, opowiada, że znalazł się pewnego razu w okolicy zamku odrzykońskiego. Niepogoda i inne przeszkody oddalały od niego rozkosz pielgrzymki do zwaliska, które już z odległości

pociągało go jakimś nadzwyczajnym urokiem. Od sąsiednich mieszkańców dowiedział się, że zamek, zbudowany przez Firlejów, znajduje się w zupełnem spustoszeniu, a jedynym jego mieszkańcem jest obłąkaniec Machnicki, który nazywa się królem odrzykońskim i uważa się za samowładnego pana opuszczonego zwaliska. Obłąkaniec ów jest najosobliwszym człowiekiem, gdyż z wyjątkiem tego dziwacznego urojenia wydaje się być zresztą zupełnie rozsądnym i wykształconym. Pojutrze właśnie zjawi się niezawodnie z powodu imienin w domu gospodarza, który autora u siebie podejmuje.

II. Imieniny. W dniu zapowiedzianym już ku zachodowi słońca wszedł do sali jadalnej oczekiwany przez wszystkich Machnicki. Był to człowiek dobrze i pięknie zbudowany, o ruchach swobodnych i naturalnych, mający około lat pięćdziesiąt. Twarz, niegdyś ładna, zdradzała męża niepospolitego rozumu i charakteru, choć w głębi jej widać było „ruinę myśli i obłąkania, ale obłąkania człowieka, który, o ile w stanie zdrowia przenosił swoim rozumem rozumy pospolite, o tyle w samym upadku ostał się jeszcze w pewnej nad nimi wyższości—uczucia“. Złożywszy gospodarzowi życzenia, siadł do obiadu, ale jadł mało, a pił tylko wodę. W towarzystwie znajdował się pewien hrabia, który chciał naigrawać się z nieszczęśliwego, ale tak należytą dostał odprawę, że zebrani, pragnąc zmienić tok rozmowy prosili Machnickiego, aby cokolwiek zaimprowizował. Machnicki posłuchał prośby, a improwizacya jego, aczkolwiek niewybredna co do formy, zajmująca była w głównym swoim pomyśle. Między innemi powiedział:

„Mój kraj pustka i ruina,
Bo mój kraj — to serca wasze;
Skądże wam napełnię czaszę?
Czyż z mej duszy? Na to zdrowie
Nikt mi pewno nie odpowie“.

Po skończonym obiedzie powieściopisarz, zaciekawiony niezmiernie zajmującą postacią Machnickiego, zbliżył się do niego na chwilę rozmowy. Gdy w ten sposób zeszli na temat zamczyska odrzykońskiego, wtedy po raz pierwszy spostrzegł w nim obłąkanie. Machnicki dowiedziawszy się, że towarzysz rozmowy mimo tygodniowego pobytu w okolicy nie zwiedził jeszcze zwaliska, odwrócił się nagle i odszedł, a niebawem niepostrzeżenie opuścił gościnne zebranie.

III. Zamczysko odrzykońskie. Nazajutrz o świcie autor-poeta wybrał się na ruiny odrzykońskie. Widok miejsca i pogoda poranku przeniosły myśli jego w krainę poezyi. Wtem usłyszał za sobą głębokie westchnienie; obejrzał się i postrzegł Machnickiego w dziwacznym ubiorze. Machnicki powitał go uprzejmie jako król zamczyska, w dowód czego dotknął poetę kością z ręki ludzkiej, która oznaczała berło. Rozmowa i sceny, które potem nastąpiły, przekonywały wyraźnie, że Machnicki nie jest zwyczajnym maniakiem-obłąkańcem, lecz dziwną istotą z nadmierną przewagą żywiołu poetyckiego, który „przy osłabionych innych władzach umysłu panował mu tem silniej i stał się dla jego duszy szkłem optycznem, pokazującem jej cały świat w postaciach powiększonych i upięknionych za rzeczywisty“. Poznać to było można zaraz w pierwszej chwili, gdy powiódł poetę na wierzch sterczącego muru i zgorszony powiedzeniem, że promień tego widoku ma kilka mil długości, zawołał: „A ja, kiedy tu wejdę, kiedy położę oko na tych górach i trącę je myślą, wnet lecę chmurą grzbietami całego łańcucha Karpat, ocieram się o morze Czarne, przepływam Dniepr, biegnę drugim jego brzegiem, ponad Dźwiną, przechodzę do Bałtyckiego morza, płynę jakiś czas morzem, zawijam w ujście Odry i ponad Odrą wpadam znowu na Karpaty...“ Każdy kamień w zwaliskach, każda kupa gruzu, każda roślinka miała tajemnicze znaczenie w królestwie Machnickiego, który sam to wszystko nazwał i ożywił. Oprowadziwszy poetę po nadziemnych zwaliskach i znalazłszy w nim wrażliwego słuchacza, po odebraniu uroczystego słowa, że nikomu nie zdradzi tajemnicy, uznał go godnym najwyższego zaszczytu, jakiego dotąd nikomu nie zrobił, i wprowadził w podziemia fantastycznego swojego królestwa.

IV. Podziemie. Nie wychodząc z obrębu gruzów, zatrzymał się Machnicki z swoim gościem nad wielkim głazem, który odwaliwszy poprowadził poetę do podziemia. U wejścia do najbliższej jaskini kościotrupy zastępowały straż pałacową. Dalsza jaskinia była więzieniem zamkowem, za nią zaś znajdował się cmentarz więzienny. Gdy Machnicki zobaczył na twarzy gościa przerażenie na widok strasznych narzędzi tortur i olbrzymiego stosu kości, zawołał boleśnie: „We wszystkiem zmysły, nigdzie duszy... Daj mu za więzienie obszar kilku tysięcy mil, a ma się za wolnego; morduj wokoło niego tysiące, niech tylko nie słyszy ich jęku, nie widzi ich trupów, a będzie

dobrze jadł, spokojnie spał, będzie wesoły, szczęśliwy, jak w raju. Dopiero kiedy go zaprowadzisz między ściany jaskini, kiedy mu pokażesz kości zamordowanych, zabrzęczysz w uszy łańcuchami, kiedy mu powiesz: oto twój świat, oto twoje życie, dopiero wtedy ocknie się, zadrży, jakby mu powiedziano coś nowego. I tacy ludzie mają być ludźmi zdrowego rozsądku? silnych zmysłów? a ja ci powiadam, że to są ludzie zmysłów zużytych, niedołężnej myśli, skrępowanego ducha. Cała ich mądrość, że mają kilka liter zmysłowych, nie mają wyobrażenia o języku duszy, bez którego i sam się nie nauczysz i nie nauczysz drugich nic szlachetnego, nic wzniosłego". Następnie spuszczając się coraz niżej, przeszli przez nowy szereg jąskiń, gdy wtem rozległ się huk piorunu. To strzał powitania — zawołał Machnicki — i wprowadził poetę do ostatniej jaskini, która była celem tajemniczej wędrówki. Jaskinia ta nader poetycznie przystrojona, była królewską rezydencyą Machnickiego. Zastawiwszy przed gościem skromny posiłek, opowiadał mu przez chwilę o historyi zamczyska, którą odkrył sam, porzucając niedokładne zapiski kronikarskie. Zamek ten trwa od potopu. „Ziarno jego przypłynęło z wodami potopu, z raju; spoczęło w tej pieczarze, przebiło swoim kiełkiem skały i wyrosło w zamek. Z czasem, z czasem zamek praojciec rozpuścił swoje korzenie podziemne, Bóg wie, jak daleko, za dziesiąte góry, za dziesiąte wody; Bóg wie, jakie zamki powstały z jego odrośli: warszawski, krakowski, gnieźnieński i krocie innych i Bóg wie, jakie jeszcze powstaną; ale to tylko odrośle; główny ich korzeń tutaj, tutaj kołyska ich dziejów". Prawdziwa historya zamczyska nie przepadnie, bo król jego pozostawi potomnym prawdziwe jego dzieje. Poczem pozostawiwszy poetę nad wskazaną księgą, Machnicki cofnął się pod zasłonę proporców, aby przywdziać strój królewski i przystąpić do najważniejszego obrzędu, do królewskiego posłuchania.

V. Historya Machnickiego. Gdy poeta zdołał nieco zaledwie rozejrzeć się po osobliwych kartkach niezwykłej księgi, z za zasłony proporców wynurzył się Machnicki, ubrany w strój dawnych trefnisiów i w takiej postawie wobec krzyża, który wisiał za nim na ścianie, że wydawało się, jakoby spoczywał na krzyżu. Zaczął teraz opowiadać bolesne dzieje swego żywota. Był niegdyś pilnym urzędnikiem i uchodził wśród ludzi za porządnie rozumnego. Ale poblizki zamek odrzykoński pociągnął go ku sobie jakimś nieprzepartym urokiem. Przez jakiś

czas walczył nierozumny z tą potężną siłą, aż nakoniec pewnej nocy po trzydniowej pracy nad urzędowymi rachunkami dostąpił owej łaski, z którą się mocował, a która stała się jego szczęściem i życiem. Naprzód popadł jakoby w omdlenie, a gdy oczy otworzył, ujrzał w oknie tajemniczą postać, a na papierach bilecik, na którym widniały następujące słowa: „Panie Machnicki! Zamek w niebezpieczeństwie. W tobie jednym jego nadzieja. Przybywaj, jak możesz najprędzej. Czeka cię królestwo. Tylko spiesz się. Twój sługa i przyjaciel, Stańczyk“. Posłuszny wśród nocy popędził natychmiast do zamku, gdzie przez dwa dni nic nie jadł pasując się z widzeniami rozgorączkowanej wyobraźni. Nareszcie nadeszła chwila jasnowidzenia. Przed rozmarzonym pojawił się Stańczyk i powiódł go do głównej sali zamkowej. Tu znajdowali się w wielkiej jakiejś boleści wszyscy nasi królowie i tylko jeden był spokojny, a ten miał twarz Bolesława Chrobrego. Gdy przed nim stanęli, Chrobry odprawił nad Machnickim obrzęd koronacyi i rzekł: „Twojem państwem te gruzy; twoją potęgą wielkość ich przeszłości, zamieniona w boleść; twoje powołanie panować przez cierpienie śród uciechy. Tym tylko sposobem dopełnisz królewskich powinności i zdasz swoje dziedzictwo godnemu następcy“. Wtem zagrzmiała przeraźliwa trąba przed zamkiem; królowie poznikali w ruinach zamczyska pozostał samotny nowy król w koronacyjnym ubiorze Stańczyka. Wybiegł za zniknionymi, ale nic nie ujrzał, tylko część zamczyska zwaliła się na ziemię. Nowy król czuł się szczęśliwym, bo wiedział, że jego ziarnko rozrośnie kiedyś na świat cały.

VI. Dalszy ciąg historyi Machnickiego. Kilkanaście lat panowania były jedną królewską ucztą. Ale zapowiadało się nieszczęście. Pokazywały się dziwne znaki, wreszcie nastała niesłychana burza, która zwaliła utrzymującą się jeszcze część murów na powierzchni. Burza trwała dwa dni. Króla uratował Stańczyk, który pojawił się w nocy i przemocą wyciągnął go z dotychczasowej stolicy, pomieszczonej w ocalałem dotąd nadziemiu zamczyska. Gdy uchodzili, stolica runęła w gruzy. Wtedy Stańczyk pocieszał zrozpaczonego i poprowadził go w te podziemia, mówiąc: „Wicher złamał tylko spróchniałą gałąź; pień drzewa nietknięty i żyje. Dlatego wprowadzę cię w inne mieszkanie; zamknę myśl twoją w nowe formy, bezpieczniejsze i właściwsze. Więcej zyskasz, jak straciłeś“. I odtąd zamieszkuje to podziemie, nie znajdując u nikogo współczucia dla ruiny.

„Nikczemnicy! nie byłoby gruzów, żebyście wcześniej byli pomyśleli o naprawie“. Ci obojętni odpowiadać kiedyś będą za byt zamczyska“. „Nowemu czasowi potrzeba będzie tego miejsca na nowy budynek. Przyjdą robotnicy, zaczną uprzątać gruzy, będą je ciskać naokoło. Nie ufajcie w odległość. Jak widzisz górę zamkową, tak będą kiedyś lecieć i toczyć się z niej kamienie na wszystkie strony. Dostanie się od nich zarówno dalszym, jak i bliższym. Zrozumieją mię wtedy. Przyznają waryatowi rozum... Ale biada temu, kto lekceważy niemiłe sobie proroctwa i czeka niewierny z założonemi rękoma, aż je przyszłość rozwiąże. Przyszłość rozwiąże, tylko że drogo trzeba jej za to płacić. A jednak żal mi tych ludzi wielki żal“. Wtem puszczyk zahuczał, a Machnicki zasunął nagle proporce i zniknął.

VII. Pożegnanie. Po pewnym czasie wyszedł Machnicki w powszednim już stroju. Zapaliwszy lampę, wyprowadził gościa tą samą drogą, a czując do niego dziwną sympatyę i przypuszczając, że on zostanie może następcą króla zamczyska, przez jakiś czas wypowiadał jeszcze swoje myśli na powierzchni zwaliska. Gdyby każdy z tych, którzy mię wyśmiewają,—mówił,—był Machnickim na swojem miejscu, wiesz coby nastąpiło? „Wkrótce powstałby jeden ogromny, nieśmiertelny król. Zapewne nie słyszałeś jeszcze o tej dynastyi? A tymczasem ona to jedynie odwiecznie tu panuje. I ja i podobni mnie byli tylko chwilowymi jej namiestnikami; ale pan prawdziwy to ona była nim i będzie... Moja i podobnych mnie rola skończy się; moje tronowe ozdoby wyjdą z mody; nowy król będzie olbrzym, weźmie suknie. stosowne do swojego wzrostu. Słońce mądrości i chwały milionów, będzie jego koroną, przy niej reszta będzie wyglądać, jak moja czapka. A wiesz, kiedy to przyjdzie?... Zajrzyj do ewangelii. Chrystus dopiero wtedy zmartwychwstał Bogiem, kiedy ciało jego umarło. Wszak tak? Resztę sam sobie wytłumaczysz... Ja już tylko na grób pracuję, o grób was tylko proszę. Niechaj nim będzie kupa tych gruzów, ta góra. Nie potrzeba żadnych napisów. Kto popatrzy, zaraz pozna, co w niej leży: gruz olbrzymiej myśli...“

VIII. Zakończenie. Po pożegnaniu się z Machnickim poeta sam jeden wśród gruzów rozmyślał nad rolą i słowami szlachetnego obłąkańca, który zdobył całe jego współczucie. „O! gdybyście wy wszyscy takiego pomieszania dostali, my-

ślał poeta, ludzkość byłaby mędrsza, szczęśliwsza, niż jest dzisiaj. Na korzyść pojedyńczych rozumów rozerwaliście mądrość ludzkości, rozbiliście na miliony bryzgów jej słońce, rozgrabiliście jego okruchy, zniszczyliście wzajemnie ich powinowactwo, a przez to odebraliście każdej cząstce jej blask i ciepło, które wzajemnem tylko zasileniem się mogą trwać i działać... Wy się o to nie troszczycie; wy chcecie, aby te światła były tylko narzędziami waszych osobistych celów,... a wasze cele, wasze potrzeby są tak drobne, tak ciasne, tak poziome, że się obejdą bez niebieskiego światła i życia, ale jak długo się obejdą, zobaczymy...“

Taka jest historya Machnickiego i jego obłąkania. Jakież jest znaczenie, jaka jest alegorya tej wzruszającej opowieści. W nowszej literaturze krytycznej dwóch tylko pisarzy poświęciło Królowi zamczyska dłuższe, a z odmiennego stanowiska płynące uwagi. Prof. Zdziechowski (Byron i jego wiek, T. II. str. 525—535) zaznaczył nie bez znacznej słuszności, że w Królu zamczyska skojarzył Goszczyński dwie na pozór wykluczające się rzeczy: trzeźwość z mesyanicznym nastrojem ducha. Trzeźwość podyktowała mu te gorzkie poglądy jakie wypowiedział o swojem społeczeństwie, iż nie panujący już nad własną myślą Machnicki przewyższał je niezmierną wyższością uczucia; nastrój mesyaniczny kazał mu zogniskować w sercu obłąkańca tę ogromną miłość ojczyzny, która znajdowała swój wyraz w mesyanicznym ideale innych naszych wieszczów i natchnęła ich do prorokowania o świetlanej przyszłości. Prof. Tarnowski (Historya literatury polskiej, T. V. str. 213—216), niechętnie usposobiony dla całej twórczości Goszczyńskiego, powiada, że Król zamczyska jest nietylko manifestem rewolucyjnym, ale i programem republikańskim i z tego tylko względu, jako świadectwo czasu, jest ciekawym. O dążności i myśli politycznej powieści wyraża się, że ten sposób odrastania zamku z korzenia, o jakim wtedy marzył Goszczyński, był marzeniem tylko i sprowadził więcej gruzów i zwalisk. Wielbicielem poety, Agaton Giller, w swoim szkicu biograficznym (Sobótka, Lwów 1875, str. 33.) pomieścił interesującą uwagę: „Jak ów król w zamczysku Królestwo Polskie utworzył, tak więźniowie polityczni tworzyli je w celach więziennych, wygnańcy w chatach, śniegiem zasypanych, a nieprzyjaciel dziwił się, skąd w samotności brali tę moc, co im wytrwać pozwoliła i nadzieją rozpromieniała przykrą

dolę. Nie wiedzieli i nigdy wiedzieć nie będą o tem źródle w polskiej duszy, co sączy strumień „wody ożywiającej serca, suchością niewolniczą dręczone“.

Machnicki jest symbolem, jest upostaciowaniem najgorętszej miłości nieszczęśliwej ojczyzny, która dla ludzi powszednich, znających tylko najpośledniejsze troski i poziomą żądzę używania, wydaje się obłąkaniem. Pocóż trudzić się i łamać karki w bohaterskich porywach, gdy można rozkoszować się doczesnością? Pocóż wywoływać nowe siły i rozszerzać jaźń narodową, gdy to pociąga za sobą ofiary, nie owe głośne, o których pamięć brzmi w pokolenia, lecz ciche i skromne, ofiary z codziennej wygody i codziennego dostatku. Machnicki dojrzał, że samolubstwo i niedowidzenie uprzywilejowanych zwaliło zamczysko w gruzy, lecz idea zamczyska nie zginęła. U dołu, w podziemiu, ocalały podwaliny i te staną się źródłem odrodzenia. Innemi słowy: idea ludowa ma zastąpić przeżytki szlacheckie i zbudować nową Polskę, Polskę prawdziwie wolną i we wszystkich swoich członkach zdrową i szczęśliwą. „Cały więc Król zamczyska — pisze prof. Tarnowski — jest allegoryą ówczesnych nadziei i zamysłów, jest jakoby poetycznym komentarzem dążności i planów, które w rzeczywistości objawiały się propagandą i spiskami między ludem. Słowa Stańczyka „zamknę myśl twoją w bezpieczniejsze i właściwsze formy, dowodzą tego wyraźnie, a znaczą, że ta droga działania prędzej i pewniej do celu doprowadzi niż wszystkie jawne a „niewłaściwe“, na pół prawne formy myśli polskiej, jak Królestwo kongresowe“. Słowa to do pewnego stopnia słuszne, lecz wypowiedziane cierpko i z niechęcią, potępiające niejako ten sposób działania dla przyszłości, którego apostołem ogłosił się Machnicki. Myśl o utrzymaniu Królestwa kongresowego była już zresztą zapóźną, bo wtedy, gdy słowa swoje Stańczyk wypowiedział, królestwo to zapadło się już w gruzy. A zatem idea Stańczyka i Machnickiego zwraca się do tej doby, która nastąpiła po listopadowym pogromie i z tego tylko stanowiska należy ją oceniać.

Czy ta allegorya na przyszłość, czy to wskazanie drogi od odrodzenia przez najszersze masy ludowe, przez zrównoważenie w obowiązkach i równouprawnienie całego narodu, nie stały się naprawdę jedynie słuszną na przyszłość drogą, jedynie godziwą i zbawienną? Któż zdoła zaprzeczyć? Czy

zatem powieść Goszczyńskiego jest tylko manifestem rewolucyjnym i programem republikańskim? Nie ośmielilibyśmy zgodzić się na to o tyle, o ile by ktoś manifestowi owemu czy programowi szkodliwe i ujemne przypisywał znaczenie. Zaznacza wprawdzie Goszczyński, iż na trupie dawniejszych kształtów społecznych zrodzą się nowe i szlachetniejsze, lecz słowa jego nie zawierają groźby, ale raczej ostrzeżenie, aby przejąć się nową ideą i dla niej pracować, gdyż inaczej niedbalcy i samolubni zgotują sobie zatracenie, które przyjść musi jako kara za winy rzeczywiste i jako nieruchomy wyrok nieubłaganej sprawiedliwości społecznej. Nikt jednak żywym nie przeszkadza, aby ducha prawdy zrozumieli i dla wielkiej idei szczerze i wielkodusznie pracowali. A wtedy odrodzenie narodu i zbawienie Polski dokonają się bez walki bratobójczej, bez haseł niezgody i nienawiści. Inaczej „słowa waryata będą krążyły jak pieśń prorocza".

Pięknym jest także sposób, w jaki przeszłość Polski powiązał poeta z przyszłością. Objawienie, które ukazało się Machnickiemu, w dwóch szczególniej uwidoczniło się momentach. Pierwsza okropna noc, kiedy Chrobry ukoronował go na króla zamczyska, to rok kongresu wiedeńskiego z r. 1815. Dawni królowie opuścili wówczas zamczysko i oddali panowanie człowiekowi, który Polskę aż do obłąkania ukochał i nie stracił wiary w jej przyszłe odrodzenie. Druga noc straszna, kiedy walą się w gruzy ostatki komnat na powierzchni zamczyska, to dzień kapitulacyi Warszawy w r. 1831., w którym zapadają się niejako ostatnie formy dawnej Polski, a król-obłąkaniec zstępuje do podziemia, jako do ostatniego źródła życia i zarodku lepszej doli na przyszłość. Gdy wszystko w gruzy runęło, pozostały jeszcze podziemia, pozostał lud polski, przez który dzieło zbawienia musi być dokonanem. Bo ideę swoją podaje Machnicki nie jako prawdopodobieństwo, lecz jako niezłomną wiarę, wiarę taką samą, która dyktowała Mickiewiczowi przedziwne widzenie ks. Piotra, a Słowackiemu syntezy Króla-Ducha, o której potrzebie ziomków swoich przekonywał Krasiński, stwarzając religię polskiej przyszłości, choć w najlepszym jego poemacie, w Przedświcie, marzył tylko (a nie wierzył) wygnaniec, marzyła wygnanka.

Tak pośród wielkich naszych romantyków stanął Goszczyński wyraźnie i poważnie i jaskrawo określoną ideą ludową, z szlachetnym programem najskuteczniejszej pracy dla

przyszłości. Ten trzeźwy głos szlachetnego poety to nie tylko program czy manifest republikańsko-rewolucyjny, ale także trwała pamiątka w rozwoju polskiej myśli narodowo-społecznej. Myśl przewodnia Króla zamczyska do dnia dzisiejszego bynajmniej nie straciła na znaczeniu i zdolną jest niepraktycznych a szczerych entuzyastów i mesyanistów, a także doktrynerów partyjnych, sprowadzić na niezawodną drogę pracy powszedniej, która jedyna ma moc przybliżyć upragnioną godzinę odrodzenia i zmartwychwstania.

Czyż miłość Polski bezinteresowna i niekastowa ma pozostać na zawsze obłąkaniem? Czy praca nad ludem polskim ma być tylko manifestem rewolucyjnym, a nie chlebem codziennym następujących po sobie pokoleń. Przenigdy! Łan, obsiewany przez Goszczyńskiego, znajduje już tysiące pracowników niestrudzonych, którzy podziemiom runąć nie dozwolą, ale na potężnych podwalinach nowe wybudują nadziemia przyszłości! A zatem:

„... W górę! głowy w górę!
Czas się wygrzebać z trosk koryta,
Duch oskrzydlony wznieść nad chmurę,
Gdzie złotem blasków słońce wita.
Jest w ludzie siła niespożyta,
Zbawienie leży pod siermięgą,
Jak ta w popiole skra ukryta!
Choćby ostatnią płuc potęgą
Dmuchajmy w tę skrę bożą, a łun spłonie wstęgą!“

Charakterystyka.

Jak w sądzie o całej twórczości Goszczyńskiego, a w szczególności o Zamku kaniowskim, tak i w zapatrywaniach na Króla zamczyska spotykam się w naszej krytyce literackiej z dwiema sprzecznemi niemal opiniami. Jedni nazywają pomysł jego śmiałym, polot uczuć Machnickiego porywającym, a samą powieść nieocenioną dostatecznie za życia poety i niesłusznie zapomnianą, inni znowu nie uznają ani piękności poezyi ani głębokości allegoryi, nie umieją dopatrzyć się naprawdę natężonego uczucia i mówią o bezskutecznem sileniu się wyobraźni poety, gdyż „fantastyczny miłośnik zamku jest we wszystkiem, co mówi, zimny, czczy i prozaiczny, jak jaki publicysta ówczesnego Towarzystwa Demokratycznego, silący się na zapał.“

Jak pogodzić dwa tak rozbieżne poglądy. Czyżby jeden sąd wypłynął z szczerego odczucia tragedyi Machnickiego a drugi był tylko wynikiem rozdrażnienia wskutek niesympatycznego dla pewnej partyi politycznej stanowiska?

W sześćdziesiąt z górą lat po napisaniu dzieła, a w trzydzieści po śmierci Goszczyńskiego, można się przecież pokusić o bezstronną i czysto estetyczną ocenę wartości poetyckiej Króla Zamczyska. Z dwojakiego stanowiska oceniać zwykła krytyka estetyczną wartość utworów poetyckich. Naprzód bada zawartość wewnętrzną, a więc oryginalność pomysłu, wpływy, wysokość wyobrąźni, uczucia i rozumu, okazaną przez poetę w danym utworze, powtóre omawia formę zewnętrzną, a więc kompozycyę i styl. Nareszcie w ogólnem roztrząsaniu jest rzeczą niemałej wagi objaśnić, o ile utwór jakiś odpowiada środowisku (milieu) autora i jakie zajmuje stanowisko wobec współczesnych sobie dążeń literacko-artystycznych i społecznych w świecie cywilizowanym.

Pomysł Króla Zamczyska musimy nazwać wysoce oryginalnym, gdyż o wpływach to tylko da się powiedzieć, że w całej ówczesnej literaturze europojskiej panowała dążność do szukania tematów nowych i zdolnych w nowy sposób wzruszyć i zająć uganiających się za oryginalnością czytelników. Odnajdujemy także ten objaw we współczesnej literaturze polskiej, jednakże bezpośredniego wpływu na sam pomysł powieści wskazać nie umiemy i zdaje się, że trudno będzie kiedykolwiek go odszukać. Podobieństwo niektórych obrazów możemy wprawdzie odnieść do dziadów Mickiewicza, z którymi utwór Goszczyńskiego łączy ponadto pokrewieństwo tendencyi i do pewnego stopnia myśli przewodniej, lecz wzajemny ten stosunek nie jest tego rodzaju, aby można mówić o jakiemkolwiek zapożyczaniu się lub zależności. Zawiera więc Król zamczyska pomysł oryginalny, jedyny w naszej literaturze i niewątpliwie świeży i szczęśliwy. — Zogniskowawszy zaś w sercu obłąkańca niezmierną miłość nieszczęśliwej ojczyzny, znalazł się poeta przed niemałą trudnością, aby przedstawić należycie obłąkanie a równocześnie utrzymać opowiadanie na wysokości idei, której rzecznikiem uczynił waryata. Według naszego zdania okazał w tym względzie Goszczyński nietylko rzetelny polot wyobraźni lecz także niemało uczucia, skoro jeszcze dzisiaj w wysokim stopniu udziela się ono czytelnikowi. Nikt wreszcie, jeżeli zdoła być szczerym, nie ośmieli się

powiedzieć, że drogą podniesienia ludu i zbawienia przez lud jest dla narodu naszego myślą nierozumną, a więc w konsekwencyi musi przyznać poecie szlachetnie oświecony rozum, który w wymownych słowach umiał podać ulubioną ideę polskiemu pokoleniu.

Pod względem formalnym powieść Goszczyńskiego utrzymała się także na wysokości artyzmu. Kompozycya jest jednolitą, jasna, niepopsuta żadną fałszywą dygresyą, uderzająca harmonią we wszystkich ustępach opowiadania. Tosamo da się powiedzieć o stylu, co jest rzeczą bardzo ważną przy ocenianiu utworów Goszczyńskiego. Jest bowiem zjawiskiem osobliwem, że najpiękniejsze nieraz natchnienia Goszczyńskiego pozbawione były tego przepychu szaty zewnętrznej, który jest nieodzownym warunkiem każdego dzieła prawdziwie artystycznego, a jeszcze bardziej warunkiem powodzenia u czytelników. Niedomagania te widzimy szczególniej w lirycznych a krótkich utworach poety, które pod innym względem na najbaczniejszą zasługują uwagę. W dwóch jednak utworach udało się Goszczyńskiemu wstąpić niezawodnie na wyżyny artyzmu, a są nimi: Zamek kaniowski i Król zamczyska. Proza Króla zamczyska prosta, niewyszukana, czasem szorstka, niekiedy jakby umyślnie powstrzymywana od wybuchu uczucia, które serce Machnickiego rozpierało, zawsze energiczna i zawsze znajdująca potrzebne a najwłaściwsze wyrazy, może być wzorem dla każdego pisarza, który tego rodzaju tematy zechciałby i zdołałby należycie opracowywać.

Jeżeli o całej naszej poezyi z doby wielkich romantyków z całą słusznością możemy się wyrazić, iż jest najściślej związana z podłożem, na którem wyrosła, odnosi się to do całej także twórczości Goszczyńskiego, a w szczególności najbardziej do Króla zamczyska. Zarazem jednak Król zamczyska jest objawem współczesnego ogólnoeuropejskiego dążenia do obalenia reszty przeżytków średniowiecznych i zorganizowania społeczeństwa na nowych i sprawiedliwych podwalinach. Jako wyraz łączności cywilizacyjnej, którą związani jesteśmy z zachodem Europy, jest Król zamczyska jednym z najpiękniejszych dokumentów w literaturze polskiej.

Dla ostatecznego scharakteryzowania Króla zamczyską przytaczamy sąd, który sam poeta wypowiedział o jemu tylko znanej częściowo kronice Machnickiego: „Sądząc z tego, co czytałem, z tego, co wiem o jej twórcy, mogę naprzód zarę-

czyć, że będzie to dzieło rzadkiej poezyi, a przytem pełne wielkich, nowych i pożytecznych pomysłów, chociaż ubarwionych fantazyą obłąkańca; bądź co bądź, jedyne w swoim rodzaju". Sąd ten z małemi modyfikacyami powtórzyć można o arcydziele Goszczyńskiego, tak niesłusznie zapominanem i niedocenianem przez niewdzięcznych spadkobierców. Na zakończenie wolno wyrazić życzenie, aby już rąz ustało to przykre odosobnienie, w które usuniętemi zostały szlachetne natchnienia Goszczyńskiego. —

BIBLIOGRAFIA.

Tekst niniejszy oparliśmy na pierwszym wydaniu powieści z r. 1842. Literatura krytyczna o Królu zamczyska jest bardzo uboga. Poniżej podaję te tylko dzieła i artykuły, w których o powieści Goszczyńskiego spotyka się cokolwiek obszerniejsze uwagi:

Giller Agaton: Seweryn Goszczyński, szkic biograficzny (Sobótka, księga zbiorowa, Lwów 1875).

Zdziechowski Maryan: Byron i jego wiek, T. II. (Kraków 1897).

Tarnowski Stanisław: Historya literatury polskiej, T. IV. (Kraków 1900).

Kąsinowski Bronisław: Seweryn Goszczyński (Gazeta lwowska 1903. Nr. 279 i 280). —

Kaczkowski Zygmunt: Moje wspomnienia (Lwów 1906).

KRÓL ZAMCZYSKA

ciągle wałąsa się po nim; codzień go pan spotkasz. Ale byłby to trud nie potrzebny. Zobaczysz go pan w naszym domu. Pojutrze imieniny mojego męża. Machnicki tego dnia nigdy nie opuści, zaszczyca nas co rok swojem powinszowaniem, bo potrzeba panu wiedzieć, że Machnicki jest także poeta, a wiersze jego wcale nie złe. Często obdarza nimi sąsiedztwo z powodu rozmaitych okoliczności. Najdziwniejsza rzecz w takim waryacie, że ma bardzo wiele dowcipu, ale dowcipu tak złośliwego, że nieraz można myśleć, czy nie udaje głupiego, aby mógł tem bezpieczniej kąsać. Niektórzy szczerze gniewają się za jego przycinki; my co go lepiej znamy, serdecznie się śmiejemy, bo czyż można gniewać się na biednego waryata? A że takim jest, sam pan przyznasz, jak go tylko ujrzysz.

II. Imieniny.

Ze szczęrą niecierpliwością wyglądałem owego dnia imienin, który miał mi nastręczyć sposobność poznania Króla Zamczyska; z powiększoną, kiedy wreszcie nadszedł. Towarzystwo było liczne i przyjemne, ale ja o Machnickim tylko myślałem. Miało się już ku zachodowi słońca, a jego jeszcze nie było. Zabierano się właśnie do obiadu, kiedy oznajmiono przybycie gościa, oczekiwanego prawie przez wszystkich, ale przez wszystkich z i innego jak mój, powodu. Byliśmy naówczas w jadalnej sali. Otwierają się drzwi.

— A! Pan Machnicki! Pan Machnicki! — zawołano zewsząd.

On to był w istocie. Wszedł ze śmiałą pewnością siebie, którą daje albo ciągłe życie wśród świata ukształconego, albo uczucie wewnętrznej wyższości nad resztą towarzystwa. W nowoprzybyłym prędzej to drugie dało się dopatrzyć: w ułożeniu jego przebijało się cokolwiek dumy, jednak połączonej z pewną uprzejmą godnością, która waruje do ubliżenia innym. Po kilku krokach powitał stosownym ukłonem licznych dokoła gości, a w tejże chwili podszedł ku niemu gospodarz domu, podał mu rękę uścisnęli się wzajemnie.

— Wszak to dzień imienin szanownego pana? — pierwszy zaczął Machnicki.

— Tak jest — odpowiedział gospodarz — a dla mnie i stąd miły, że mogę powitać w moim domu tak nam drogiego, a przecie tak rzadkiego gościa.

— A dla mie — rzekł Machnicki z zimnym, lekko szyderczym uśmiechem — stąd jeszcze milszy, że mogę mu złożyć moje życzenia. Na ten raz jedno tylko wynurzę, abyś nigdy nie wyszedł źle na swoich żądaniach i zawsze więcej żądał dla drugich, jak dla siebie. Reszta na potem, bo zdaje mi się, że obiad czeka gości, a goście obiadu jeszcze bardziej.

Obecni temu, wszyscy prawie, znali Machnickiego osobiście i oswojeni byli z tonem jego mów, we wszystkiem znajdowali pobudkę do uciechy i powyższe więc słowa tylko ich rozśmieszyły, jak zwyczajne głupstwo; może to było i konieczne u tych, którzy od dawna znali go waryatem i ostrzelali się z jego przycinkami, ale na mnie ta krótka scena zrobiła przeciwne całkiem wrażenie. Żaden ruch, żaden wyraz Machnickiego nie uszedł mojej uwagi, od czasu jak wstąpił do sali; i w niczem nie dostrzegłem owego okrzyczanego obłąkania. Przeciwnie wszystko wprowadzało mię na uroczyste zastanowienie się nad nim i podnosiło do wyższego stopnia ciekawość. Przypadek wygodził po części moim chęciom; zasiedliśmy do stołu prawie tuż naprzeciw siebie. Ale długo nie mogłem z tego korzystać. Według zwyczaju, mając obok siebie sąsiadkę, miałem zarazem obowiązek służenia jej i bawienie. Nie wiem jak dopełniałem tej powinności, ale to pewna, że byłem głównie zajęty Machnickim, tak, że wkrótce przy całem roztargnieniu, mogłem sobie narysować zewnętrzny przynajmniej obraz jego fizyognomii.

Potrzeba sobie wyobrazić człowieka wzrostu więcej trochę niż miernego, podstawy prostej, budowy silnej, bark szerokich, z doskonałą harmonią we wzajemnym do siebie stosunku wszystkich członków, jednem słowem: człowieka dobrze i pięknie zbudowanego, któremu jednak zbywa cokolwiek na stosownej tuszy; przy takiej budowie wyobraźmy sobie ruchy swobodne, naturalne,

zgrabne, często żywe, a zawsze miarkowane pewną godnością, pewną powagą mimowiestną, niewymuszoną, napiętnowaną charakterem dawno ustalonym. Miał około lat pięciudziesiąt. Pokazywały to i włosy w połowie siwe i cała powierzchowność twarzy. Mimo to odgadywałeś, że ta twarz była kiedyś ładna; chudość nie zepsuła jej owalu, nie zaostrzyła zbytecznie rysów, a wydatniejszym zrobiła nos pociągły, z lekkiemi wypukłościami średniej chrząstki i końcowego zaokrąglenia. Nie była to jednak ładna fizyognomia ludzi pospolitego rozumu i charakteru. Wpatrzywszy się w nią lepiej okiem znawcy, dostrzegłeś pod zwierzchnią jej powłoką rysów połamanych przez uniesienie namiętne, przez głębokie cierpienia, przez tortury ducha; jasno widziałeś w jej głębi ruinę myśli i obłąkania, ale obłąkania człowieka, który, o ile w stanie zdrowia przenosił swoim rozumem rozumy pospolite, o tyle w samym upadku ostał się jeszcze w pewnej nad nimi wyższości — uczucia. Najwyraźniejszem objawieniem tego smutnego stanu była dziwna ruchliwość oblicza. W chwili rozigrania, widziałeś tam naraz prawie kilka rozmaitych, najsprzeczniejszych wzruszeń, ale w każdem z nich było coś tak szlachetnego.[1]) że nawet w podobnem pasowaniu się z sobą nie szpeciły twarzy, nie robiły na patrzącym przykrego wrażenia. Tosamo działo się w dużych, siwych oczach: czasem błyskały one takiem szczególnem spojrzeniem, że blask ich przechodził w dziką jaskrawość; ale i wtedy uderzała cię tylko jakaś energia duchowa, jakaś żywość myśli, które lubo gwałtownie przelatywały, znać jednak było, że nie przelatywały samopas, ulegały kierunkowi pewnej woli, i mimo przybłyskiwania, objawiały się silne, pełne i wykończone.

Widok tej twarzy w zupełnem uspokojeniu niemniej był ciekawy: wszystko wtedy oddychało w niej jakiemś uczuciem wyższości nad przytomnymi, zanadto pewnej siebie, żeby wpadała w zuchwalstwo jakąś w rzeczy samej myślą panowania; na dnie błyszczał niby wyraz młodości, jakby młodości duszy, jakby wiosna wyobraźni, a na tem wszystkiem leżała cicha ponurość, niby zasłona z przejrzystej krepy, które wydatniejszymi fałdami były gęsto przez pół siwe i ciemne włosy, na czoło

[1]) wyd. 1842: ślachetnego, tak i na innych miejscach.

nasunione z pewnem zaniedbaniem, i ciemniejsze jeszcze wielkie brwi, nad okiem zwisłe. Głos jego był silny, dźwięczny, a obok tego czysty, przyjemny i łatwo gnący się do dźwięku wszelkiego uczucia.

W czasie tego obiadu, chociaż jadł bardzo skromnie, a pił jeszcze skromniej i to czystą wodę, mało się jednak odzywał, a zawsze zmuszony przez kogoś. Uważałem wtedy rzadką żywość i trafność w odpowiedziach, a w rozmowach tak krótszych jak dłuższych wielką łatwość i szlachetność tłumaczenia się.

I tego jednak, co mówił, nie mogłem po największej części dosłyszeć, wciągany nieraz przez moją sąsiadkę do nowej rozmowy, którą przez grzeczność musiałem utrzymywać. Wkrótce ciekawość, zwrócona w inną stronę, przemogła nad grzecznością; mimo całego przymusu, odpowiadałem niostosownie, albo wcale nie odpowiadałem. Dysharmonia między naszemi myślami była widoczna. Postrzegła wreszcie moja pani to roztargnienie; zrazu zaczęła żartobliwie napomykać jego przyczynę, którą kobiecie wydaje się jedyną i konieczną w mężczyźnie młodym i nieżonatym, w końcu, zwróciwszy się ku drugiemu sąsiadowi, zostawiła mi zupełną swobodę zajęcia się Machnickim. Byłem jej za to bardzo wdzięczny, bo właśnie w tejże chwili rozpoczęła się znowu scena, która przedmiot mojej ciekawości odsłoniła mi z innej strony, ważniejszej niż jego powierzchowność.

Znajdował się w naszem towarzystwie pewien hrabia K... Był to młody dwudziestokilkuletni mężczyzna. Należał on z rzemiosła swojego do rzędu ludzi znajomych pod rodzajowem nazwiskiem „przyjemnych trzpiotów“, jakich ma każdy kraj, każda prowincya, każda okolica, każde miasteczko, każda koterya, a których wartość gatunkowa odpowiada sferze, gdzie krążą wyłączniej. Hrabia K. był jednym z dowcipów podrzędniejszych, cyrkularnych. Nie przeszkadzało to jednak, że cały cyrkuł bawił się nim w najlepsze. Kobiety dobrego miejscowego tonu szalały za jego towarzystwem; młodzież w pośledniejszej swojej części, naśladowała go, w czem mogła; starsi i rozsądniejsi pobłażali, bo był hrabią i miał jaki taki mająteczek; zresztą był, jak to zowią,

dobry chłopiec. Znał się na koniach i psach, strzelał celnie, jadł i pił o zakłady, śpiewał i gwizdał przy fortepianie, tańczył na zawołanie bez muzyki i pary, nie zostawił nikogo w spokoju, powolniejszym wręcz dokuczał, draźliwszych wydrzeźniał z tyłu, koniec końców błaznował, najczęściej kosztem tych, nad którymi przystawało raczej litować się; wszakże. usprawiedliwiając go potrzeba dodać, że przykry ten dowcip miał źródło raczej w głupocie jak w złem sercu, raczej w zepsutym smaku towarzystwa, w którem żył, jak w skłonnościach wrodzonych. Wszedł on w nałóg złośliwego bawienia się, jak wchodzimy we wszelką rozpustę, przez poklask zepsutych. Dla podobnego człowieka Machnicki, albo że użyję całego wyrażenia samego hrabicza, Król Machnicki był to prawdziwie *królewski kąsek.*

Całe towarzystwo wiedziało o przygotowanym napadzie na biednego waryata, czekało niecierpliwie, z nielicznym wyjątkiem, chwili starcia się dwóch takich zapaśników, ktorych już dlatego umieszczono przy stole obok siebie, i doczekało się nareszcie. Hrabia zaczął. Napełnił kielich winem, podniósł się, ułożył twarz figlarnie uroczyście i zawołał:

— Zdrowie Króla Odrzykońskiego! Oby jak najdłużej panował dla naszej radości, w takiej mądrości i sławie u świata, jak dotąd.

Znaleźli się, którzy odpowiedzieli na ten toast, inni, którzy szczerze zachychotali, inni wreszcie, którzy się zmarszczyli widocznem niezadowoleniem. Do ostatnich i ja należałem; znam cześć dla gruzów umysłu ludzkiego, jak dla wszelkich innych. Machnicki siedział nieruchomy i byłby może takim pozostał, gdyby młodzik, za daleko swój żart posuwając, nie był go trącił w ramię i nie przemówił z drwiącym grymasem:

— Królu, ażaliż grzeczność nie znana w twojem państwie?

Dziwna zmiana chwilowa, jak błyskawica mignęła przez oblicze Machnickiego i zostawiła po sobie tylko chmurną powagę, nalał spokojnie swój kielich wodą i przemówił, nie wstając z siedzenia:

— Przyjmuję zdrowie pana hrabiego w tensam

sposób, w jaki było wzniesione, i mam sobie za powinność odpłacić toast toastem, przemowę przemową... Trzeba nam wiedzieć, moi panowie, że są dwa rodzaje waryatów: jedni, których bardzo mało, wiedzą o swoim stanie, umieją go znosić i są tem, co właściwie zowią się waryatami; drudzy, z rozumem niedołężniejszym od waryacyi, sądzą, że mają najzdrowszy, ani na chwilę o tem nie wątpią, takich jest bardzo, o bardzo wiele, a nazwisko ich znajdzie pan hrabia w słowniku swojej grzeczności. Pierwszym i wino nie zaszkodzi, to też ich zdrowie można pić winem, drugim pomaga niekiedy zimna woda, dlatego wodą piję twoj toast, panie hrabio! *Oby podobni tobie rozmnażali się bez liku u naszych nieprzyjaciół!*

Toast Machnickiego wzbudził śmiech głośniejszy i powszechniejszy jak pierwej. Wielu cieszyło się kłopotem hrabiątka tak samo, jak wprzódy ostrym żartem z Machnickiego, inni zaś ze szczerej przychylności ku sprawie zaczepionego. Wszakże ten usterk nie zraził jeszcze hrabiego, przynajmiej umiał go pokryć głośnym śmiechem, chociaż, widać było, wymuszonym.

— Jak to, Królu — zawołał, nachylając się uprzejmie ku Machnickiemu — tybyś miał się gniewać za życzenie, dalibóg, serdeczne? Otóż dla przebłagania ciebie chcę odtąd zostać najwierniejszym twoim poddanym.

— Przepraszam — odparł natychmiast Machnicki z niewzruszoną powagą. — Moją polityką jest nie cierpieć w mojem w państwie większego odemnie... króla, ma się rozumieć. Panie hrabio, z twoim szlachetnem usposobieniem prędkobyś mię z tronu zsadził.

Śmiech towarzystwa jeszcze się bardziej powiększył; czuł teraz hrabia, że jego kosztem, że kosztem jego dowcipu; który się rozbił o głupstwo niby waryata — i nie znalazł już mocy pokryć swojej przegranej choćby udanym śmiechem, ale stracił do reszty przytomność dobrej myśli, kiedy Machnicki, który przez cały ten czas wpatrywał się w grę jego oblicza z zimnem szyderstwem politowania i wzgardy, zawołał ze swojej znów strony, jakby naśladując hrabiego:

— Jakto? Panie hrabio, ażaliż niema już dowcipu w twoim dowcipie? — a na zakończenie uderzywszy kie-

lichem i kielich, który właśnie pomieszany hrabia niósł machinalnie do ust, zawołał;—A więc zgoda dwóch półgłówków! Któż z nami, jeśli my przeciw sobie?

Żartowniś, dobity tym ciosem, któremu nie przestawał towarzyszyć barbarzyński śmiech wielkiej części towarzystwa, byłby może wypadł z karbów okoliczności i szczerym gniewem wybuchnął, gdyby litość kilku roztropniejszych kobiet, zwykle przytomnych w podobnym razie, nie była nadała zabawie innego kierunku.

— Panie Machnicki — zawołała jedna z nich — zaimprowizuj nam cokolwiek z łaski swojej. Już tak dawno nie mieliśmy przyjemności słyszeć jego poezyi. Powiedz nam co wierszami.

Na ten głos Machnicki wrócił do zwyczajnej postawy przy stole, postawił spokojnie kielich i spojrzał dokoła z taką twarzą, jak gdyby nie było na niej przed chwilą żadnego wzruszenia, odezwał się tylko:

—Ma to być drugi akt komedyi! — ale z uśmiechem więcej łagodnym jak szyderskim.

—Prosimy![1])

Machnicki skinął ręką na uciszenie.

—Z całego serca!—rzekł.—Wymawiam tylko sobie aby nie miano do mnie żalu, gdyby jakim przypadkiem nie podobało się coś w moich wierszach komukolwiek. Państwo wiecie zapewne, że człowiek, opętany natchnieniem poety przestaje być sobą. Każdemu z nas, jak tu jesteśmy, zdarza się, jeśli nie ciągle, to przynajmniej codzień gadać, nie wiedząc, co gada, chociaż prozą; a cóż dziwnego, że człowiek, mówiący wierszami i bez przygotowania, nie jest czasem panem słów i myśli. Będę improwizował, jeżeli się naprzód zapewnię o takiem pobłażaniu:

Chętnie jałmużnę dajecie
Żebrzącej o grosz niedoli!
Nie odmówcież dobrej woli
Waryatowi poecie.
Wszak to worka nie wysusza,
A skorzystać może dusza;
A czyja? zapewne wiecie.

Ze szczerą ciekawością wpatrywałem się w Machnickiego i chwytałem każde jego słowo. W rzeczy

[1]) wyd. 1842: prosiemy.

samej zdziwienie moje było nadspodziewane nad ową łatwością wysłowienia się i szybkością myśli, co tak przelatywała z jednego tonu w drugi. Znać w tem było nie tylko wprawę, ale swobodę ducha i władzę nad myślami, którą natchnienie tylko dać może. Nie mogłem wstrzymać się od pomyślenia w duchu: ten człowiek nie na waryata się rodził, a przynajmniej nie na zwyczajnego! Kiedy zaś umilkł na chwilę, jak żeby czekał od obecnych przytwierdzenia swoim słowom, zawołałem pierwszy, stosownie do ostatniego wiersza:

—Wiemy! wiemy! i z rozkoszą słuchamy dalej! — Kilka już razy, z powodu sceny poprzedzającej, dałem uczuć Machnickiemu swoją dla niego życzliwość, ale uważałem, że w tej chwili przyjął ją lepiej, niż kiedykolwiek i mocniejszą zwrócił ku mnie uwagę. Wzrokiem szczególniej przenikliwym dłużej na mnie spoczął, jakby mię chciał zbadać na wskróś, a znalazłszy zapewne w mojem odezwaniu się szczerość, uśmiechnął się lekko, z pewnem zadowoleniem,—i uważałem, że w ciągu dalszej improwizacyi na mnie opierał głównie swoje wejrzenia. Tymczasem wziął w rękę próżny kielich i tak kończył:

Mamy dziś święto sąsiada
Tak nam kalendarz powiada.
By nie zostać niegrzeczniejszym
Od samego kalendarza
I długami serca dłużnym,
A więc przy święcie dzisiejszym
Piję zdrowie gospodarza,
A piję kielichem próżnym.
Jeśli próżny, mojaż wina?
Mój kraj pustka i ruina,
Bo mój kraj to serca wasze:
Skądże wam napełnię czaszę?
Czyż z mej duszy? na to zdrowie
Nikt mi pewno nie odpowie.

A chociażbym z niej i nalał,
Cóżby to się stało z wami?
Każdy-by jak ja oszalał..
Lecz nagrodzę życzeniami.
O! życzeń tyle, co nędzy.
Wszystko zamknę w krótkiem słowie!
Obym pić mógł jak najprędzej
Z pełnego dzisiejsze zdrowie,
A życzył rozumnie — w prozie —

Na wszystkich świętych — w obozie —
Przy zastawie bojowiska,
Śród prochu, ognia i dymu!
Tak wam mówi król zamczyska:
A co mówi, to dla rymu.

Taka była improwizacya Machnickiego i z małemi zapewne odmianami, bo ją w tejże chwili odpisywałem. Jako poezya nie ma ona zapewne nic szczególnego zwłaszcza w czytaniu; ale trzeba ją było słyszeć w ustach Machnickiego— a żywym dźwiękiem jego głosu, ze szczerem uczuciem wezbranego serca. Nadto, przy całym tonie ucinkowym i lekkim, nie można jej zaprzeczyć pięknego głównego pomysłu i prawdy, lubo za cierpkiej, wszakże zawsze prawdy, a zwłaszcza dosyć zastosowanej do osób i okoliczności. Dlatego powszechne zrobiła ona wrażenie; a to, którego ja doznałem, nie było najmniejsze. Kiedy więc inni podnieśli oklask i okrzyk brawa, ja, korzystając ze zgiełku, przechyliłem się przez stół ku Machnickiemu i szepnąłem półgłosem:

—Winszuję panu nie rymu, ale sensu.—

—Pan go dostrzegłeś?—zapytał Machnicki.

—Bez trudu. —

—Ale tego, oprócz pana, nikt tu więcej nie powie.

—Bo nie chce. —

—Masz pan słuszność. Udają, że się bawią waryatem: niby lepsi od niego. Smutna to rzecz jednak!— i westchnął głęboko. — Patrz, jaka uciecha z własnej hańby. —

Rozmowę naszą przerwała kolej toastów, kończących obiad. Następnie muzyka wezwała do tańców. Powstano od stołu. Wszystkie moje chęci zmierzały do tego, żeby wejść w ściślejszą znajomość z Machnickim: szukałem go na wszystkie strony, niebawnie postrzegłem. O jednem widać myśleliśmy oba, gdyż pierwszy przystąpił do mnie. Byliśmy tylko we dwóch na ustroniu.

—Pan nie lubisz tańców?—zapytał mnie

—Przeciwnie. —

—A jednak nie tańczysz. —

Od jakiegoś czasu. —

Ja się uśmiechnąłem, on zamyślił się na chwilę.

—Dobrze pan robisz. Od jakiegoś czasu—a mówił to z wydatnym przyciskiem — niktby tańczyć nie powinien; ale poradźże tu z tymi ludźmi! —

Zatrzymał się znowu, zachmurzył się, po chwili przybrał twarz obojętną i obojętnie mię zapytał:

— Pan zapewne z dalekich okolic? —

— Tak, niedawno poznałem tutejsze. —

— Niewiele zyskałeś. —

— Przeciwnie—odpowiedziałem ze szczerą uprzejmością, — miałem przyjemność poznać pana Machnickiego. —

Spojrzał z niedowierzaniem.

— Ale ten Machnicki waryat!—

— Nie dla mnie, jak dotąd,— odparłem z uśmiechem, a na dowód pokazałem mu odpis jego improwizacyi, — w tem przynajmniej widzę więcej, jak rozum pospolity. —

— A u nich jednak waryacya. —

Po chwili nowego milczenia nagle zapytał:

— Widziałeś pan zamek Odrzykoński? —

— Z daleka. —

— Więc musisz tu być bardzo niedawno? —

— Od tygodnia. —

Na tę odpowiedź postrzegłem niezadowolenie w twarzy Machnickiego.

— Jak to? od tygodnia tu być i nie poznać zamku! To jednak tak blizko! A choćby i najdalej? Drugiego takiego miejsca niema na ziemi. Powinniśmy do niego pielgrzymować, jak mazułmanie do grobu Proroka.

Mówiąc to, podnosił głos coraz wyżej, ruchy ciała ożywiały się, na twarz występował dziwny, wewnętrzny płomień; po raz pierwszy postrzegłem w nim obłąkanie.

Wymawiałem się jednak szczerze przeszkodami niezależnemi odemnie, jak było w istocie. Machnicki słuchał niecierpliwie, gotował się widać do nowego uniesienia, kiedy wpadła pomiędzy nas trzecia osoba. Machnicki zwrócił się nagle i odszedł. Widziałem go jeszcze raz z daleka; zdawało się, że chciał znowu mię spotkać i mówić, i widać było, że się wahał; wkrótce

straciłem go całkiem z oczu; jakoż powiedziano mi, że opuścił towarzystwo niepostrzeżenie. Było to nad moje spodziewanie; mocno żałowałem, żem puścił mimo tak dogodną zręczność lepszego zbadania tej szczególnej istoty. Nie pozostało mi teraz, jak szukać go w zamczysku, i na to przeznaczyłem nieodmiennie dzień następujący.

III. Zamczysko Odrzykońskie.

Nazajutrz, ledwie dzień zaświtał, byłem już w podróży do zamczyska, bo chciałem razem z niem wschód słońca powitać. Poranek był prześliczny, jak tylko może być poranek majowy i pogodny, po tylu dniach nieba zachmurzonego. Droga pięła się pod górę pomiędzy sadami lub lasami. Oko w każdym kierunku odpoczywało na śniegach drzew rozkwieconych; wszystkie wiatry powiewały woniami fiołków. Zielona szata okolicy srebrzyła się perłami rosy. Niewysłowiona, czarująca świeżość, jak swoboda lat młodzieńczych, przenikała i zachwycała duszę, grała we wszystkie zmysły. Droga tymczasem coraz przykrzejsza, las ciemniejszy, skały gęściej szarzeją, dzikość pustyni coraz wyraźniej czuć się daje, urok miejsca coraz silniej podbija duszę; nagle puszcza się rozstąpiła i zamek w całej grobowej okazałości stanął przedemną.

Nie będę się rozwodził, z jakiem uniesieniem powitałem ten widok, nie będę opisywał wrażeń, które zrobił na mnie pierwszy przegląd tego ogromu gruzów; tam, gdzie każda ściana, każdy zakąt, każdy krok wyprowadzały czarodziejską różdżką z mojej duszy nowy coraz potok uczuć i marzeń, otwierały mi nowe światy, szczegółowy opis byłby może zanadto nużący, a, co pewniejsza, niepodobny do wykonania. Dodam nadto, że celem niniejszej powieści nie jest obraz moich wrażeń, lecz proste opowiadanie, a główną jej osobą nie ja, lecz Król zamczyska. O tyle więc jedynie opowiadam, com widział lub czuł, o ile to potrzebne do utworzenia tła, na któremby przedmiot obrazu wydał się jak najwłaściwiej, jak najdobitniej. Z tego tylko powodu uznaję za konieczne rzucić kilka zarysów ogólnych zamczyska i jego okolic.

Zamek Odrzykoński leży na północ Krosna. Posadą jego jest góra, należąca do łańcucha jednej z Karpackich odnóg, okryta świerkowymi lasami, jak cały szereg jej rodziny. Zamek zajmuje najwyższą jej wyniosłość, która ją widocznie od innych odosobnia. Ów szczyt najeżony jest ogromnemi bryłami głazów, pomiędzy któremi rosną pomieszane: brzozy, sosny buki, a z drobniejszych krzewów: głóg, jałowiec, dzikie róże, jeżyna i tym podobne. Sam zamek po największej części wygląda jak mogiła gruzów, jednakże znaczna część murów, zwłaszcza zewnętrznych, stoi dotąd nieporuszona. Najwyższa część zamku zajmuje południowy bok szczytu, najniższa zachodni. Ściana północna cała prawie ciągnie się w linii prostej, równolegle niemal do południowej; kąty innych części są w rozmaitej liczbie, rozmaitej wielkości. Taki jest ogólny rysunek zwalisk; inne szczegóły będą mieć miejsce w dalszem opowiadaniu.

Znużony pieszą wędrówką i szybkim a trudzącym przeglądem gruzów, wzruszony do głębi duszy ich widokiem, uczułem nakoniec potrzebę wytchnienia. Obrałem na to miejsce, skądbym mógł ogarnąć jak największą przestrzeń najładniejszej okolicy; i w samej rzeczy miałem niezmierny, porywający widok, szczególniej od południa i zachodu. Z jednej strony padół, zaledwie objerzany, zasiany miasteczkami i wsiami, pocienowany lasami, przepasany łożem Wisłoka; z drugiej zaś pasmo Karpat rozłożyło się przed mojem okiem bez żadnej zasłony. Nie miałem jednak dosyć czasu nasycić się pięknością tego obrazu: wkrótce rumiana zorza wschodu odbiła się na dalekich szczytach, zwiastując słońce; ku wchodniej więc stronie zwróciłem oczy.

Po chwili i słońce zjawiać się poczęło w grubej chmurze, jakby go [1]) noc ze swoich objęć wypuścić jeszcze nie chciała; chmury wprawdzie opadły i rozpierzchły się, a słońce zabłysło odrazu w całym blasku, ale był to blask zawczesny, południowy, przykry, który w ciągu dnia deszcz zapowiada, blask oka, któremu na płacz się zanosi, którego powierzchnia jaśnieje szczęściem,

[1]) wyd. 1842: je

podczas kiedy na dnie jego podnosi się z głębin duszy chmura smutku, przeczucie boleści.

Taka chwila ma właściwy sobie urok i przedstawia jasne podobieństwo stanu przyrody, zwanej martwą, ze stanem duszy ludzkiej. Przedmioty oddalone zazwyczaj zbliżają się do siebie; rzekłbyś że chcą napatrzyć się sobie zaczem je mrok chmury rozłączy; kwiaty mocniej wonieją, jak żeby spieszyły się z daniną kadzidła krótkim chwilom pogody; mimo godziny porannej zaduch południa; mimo przepychu światła jakaś w nim melancholia, jakiś brak, coś nakształt owej niepojętej tęsknoty, która ani swojego źródła, ani swojej pociechy znaleźć nie umie.

Takie było oblicze owego poranku; nieznacznie, mimowiestnie wpływ jego i mnie ogarnął, tem łatwej że mię usposabiało do rozrzewnienia się samo miejsce, gdzie się znajdowałem. Posępne dumanie przegrywkiem odzywało się z razu po strunach duszy; zwolna ułożyło się w piosenkę, mniej więcej wyraźną, aż nastroiwszy do swego tonu czucia i myśli, wylało się na papier w następnym wierszu:

Wędrowcze ruin, ruin kochanku,
Jaki cię smutek naciska?
Anioł przeszłości, anioł poranku
Spotkały się u zwaliska.

Widzę w objęciu nieziemską parę,
Widzę ich dwa widma chmurne,
Jak razem płaczą, jak łez ofiarę
Kładną, razem w gruzów urnę.

Stary czas odżył smutną pociechą
I zajęczał im w podzięce;
Słyszę jęk jego, jak dzikie echo,
Po bolesnej gór piosence.

Wciąż koniec śpiewu. Kiedyż pieśń nowa
Rozpocznie się przez kwilenie
Nowych narodzin? Paro duchowa,
Daj mi przyszłości widzenie!

Skończyłem właśnie odczytanie powyższej dumki, kiedy usłyszałem na sobą głębokie westchnienie; obejrzałem się i postrzegłem Machnickiego. Stał tuż przy mnie; z oblicza widać było zachwycenie w myśli, na oczach łzy stały; wszakże strój osobliwy szczególniej mię uderzył. Suknie, schodzone cokolwiek, były jednak porządne

i ułożone z pewną starannością, nie wydawały pomieszanego umysłu; za to szczersze były dodatki do ubioru. Na głowie miał kapelusz, otoczony wieńcem z gałązek róż dzikich, okrytych na pół rozwiniętym kwiatem, gałązka świerku sterczała zamiast kity, piersi całe okryte były to rozmaitymi kwiatkami polnymi, to liśćmi, w ręku trzymał kość z ręki ludzkiej, jak mi się wydało na pierwsze wejrzenie. Ten strój, tak odmienny od wczorajszego, przez co nie mogłem go odrazu poznać, obok tego rozmarzenie poetyckie, nie całkiem jeszcze rozproszone, sprawiły, że jakiś czas byłem jakby pomieszany i nie wiedziałbym, od czego zacząć rozmowę, gdybym się nie upewnił w tejże chwili, że mój kłopot był daremny, bo Machnicki zaczął pierwszy. Stał on jeszcze w postawie, w jakiej go postrzegłem, z tymże wyrazem zachwycenia w obliczu; zwolna podniósł nad głowę kość, którą trzymał, i uroczystym przeciągał głosem: „Anioł przeszłości, anioł poranku, spotkały się u zwaliska!“

Zamilkł, zniżył kość z tąż samą powagą, z jaką ją podnosił, pilnie wpatrzył się we mnie i rzekł, nie zmieniając wyrazu twarzy:

— Ja, Król Odrzykoński, nieograniczony pan tych gruzów, stróż ich przeszłości, naprzód jako król wynurzam ci wdzięczność, żeś godny hołd złożył mojemu królestwu; biorę cię przeto pod moją opiekę, jak długo zechcesz przebywać w mojej dziedzinie, w dowód czego dotykam cię tem mojem berłem, a teraz...—zmienił nagle twarz i z uprzejmym uśmiechem uścisnął serdecznie moją rękę—a teraz witam jako brat brata, a przedewszystkiem najmocniej przepraszam, jeżeli mojem nadejściem przerwałem chwilę jego natchnienia. Podobne chwile są niepłacone i ja znam ich wartość i ja także jestem poetą. Szczerze więc przepraszam.

— Ja to pierwszy powinieniem żądać przebaczenia, że bez wiedzy króla śmiałem wejść w jego państwo,— odpowiedziałem, stosując się do królewskiej Machnickiego roli.

— Z tej strony bądź spokojny —rzekł Machnicki z coraz większą uprzejmością— już po wczorajszem poznaniu, chociaż dalekiem, serce moje przychyliło się ku niemu; życzyłem sobie jego odwiedzin; zrazu chciałem

mu to oświadczyć, rozważywszy, zaniechałem. Cobym mówił z pełności serca, toby wzięto za wybryk waryata. Mniejsza o mnie, ale część mojej śmieszności i na niego by spadła. Pan znasz świat — znasz wczorajsze towarzystwo — wiesz jak mnie uważają, wiesz to dobrze — niech to pana nie miesza. Ja nie gniewam się na tych ludzi, bo znam ich dobrze. Nie czuję się nigdy mędrszym, lepszym, jak kiedy jestem pomiędzy nimi. Jednego kamyka tych gruzów nie oddałbym za najczulsze z ich serc ten kwiatek przekwitły więcej ma duszy, jak oni. Żadnego z nich nie chciałbym mieć moim poddanym. Wolę tym gruzom królować. Z tem wszystkiem nie są oni nargorsi. O! daleko gorsi są od nich. Oni nawet dobrzy ludzie podług ich czasu, podług ich rozumu, ale waryaci. Mogłem być ich królem i nie chciałem. Dlaczego? jak? Kiedy się lepiej poznamy. sam przyznasz mi słuszność. Ale zostawmy to na później. Obyczajem świata zaczniemy rozmowę od pogody. Wybrałeś pan do wędrówki prześliczną chwilę, tylko niepewną.

— Bardzo tego żałuję, — odpowiedziałem — widoki cudne; potrzeba wiele swobodnego czasu, żeby się nimi nasycić.

— Masz pan słuszność. Okolica prześliczna, ale to tylko ciało, cóż gdybyś pan duszę zobaczył! Jaka olbrzymia, jaka wzniosła! Geniusz ożywiłby nią dwadzieścia milionów. Tylko, że to jest tajemnica, wielka, zsklęta tajemnica. Krocie ludzi rodzą się i umierają pod bokiem tych gruzów, a żaden ani się domyśli ich prawdziwej wartości. Gruzy i gruzy! powiadają oni; stare, okazałe, to prawda, ale nic więcej, tylko gruzy jakiegoś zamku. A ja panu powiadam, że te gruzy większe są od tebańskich, babilońskich, rzymskich, większej od gruzów niejednego narodu. Gdyby mi wolno było podnieść ich zasłonę, świat z boleści wziąłby się za włosy; zobaczyłby pod nimi przestrzeń pustyni większej jak Sahara, w każdym kamieniu trupa, w każdej warstwie muru pokolenia wymordowane: zobaczyłby rzeki z łez i krwi; ich wysokość myślą jedynie mysiałby zgadywać; wieża Sennaru pigmejczyk przed nimi. Jest to coś jak majestat narodu. —

— Wierzę panu. —

— Nie dziwiłbym się; gdybyś nie wierzył; za krótko jesteśmy z sobą. Ale później, może... Tu zatrzymał się nagle przeszedł z widocznym umysłem do innego przedmiotu. — Podsłuchałem wiersz pana. Nie przepraszam go za to. Wszak jestem tu królem, mam prawo i powinność wszystko widzieć i słyszeć, co się w mojem państwie dzieje. Nie powinieneś urażać się o to; nie straciłeś pan na mojej ciekawości. Z tej jednej chwili poznałem go lepiej, niż gdybyśmy sto imienin razem obchodzili. Widzę u pana usposobienie bardzo dla niego pochlebne, a które daje mu prawo... Nagle zatrzymał się i patrzał mi w oczy długo okiem, ani na chwilę niezmrużonem, bystrem, przenikającem duszę w różnych kierunkach, zawołał potem: Tak, możesz pan śmiało pytać o wszystko, co się tyczy mojego królestwa; objaśnię go, o ile mi wolno.

Podziękowałem w krótkich słowach i zacząłem od sprawdzenia już mi wiadomych szczegółów.—Ten zamek —rzekłem - Firlej podobno założył za panowania któregoś z Zygmuntów.

— Firlej! Zygmunty! — powtarzał Machnicki z uśmiechem przekąsu — bajki! ale nie tu miejsce mówić o tych rzeczach. Tu każde echo złapałoby moje słowo, a tysiąc wiatrów nieprzyjaznych rozniosłoby je natychmiast;—o! mam ja potężnych nieprzyjaciół i tutaj, jawnych i utajonych,—muszę być ostrożnym. Gdybym panu powiedział ostatnie słowo tych gruzów, spędzonoby wszystkie pułki piekielne, aby ich ślady nawet zadeptać. Ale od czegoż mądrość stanu? muszę dyplomatyzować.—

W tem miejscu muszę się przyznać czytelnikowi, że dotąd jeszcze uważałem Machnickiemu za zwyczajnego obłąkańca i stosownie też przyjmowałem monetę jego mowy. Jego więc odpowiedzi, zboczenia, uniesienia się, nie przerywały głównego ciągu mojej myśli, nie psuły szyku zapytań, które podobny przedmiot nastręczał, na które przedewszystkiem chciałem mieć odpowiedź: dlatego mówiłem dalej:

— Powiadają, że jeszcze niedawno znaczna część zamku była mieszkalną? —

---

[1]) wyd. 1842: rozniesłoby.

Machnicki milczał.

— Największą część rozebrano podobno na inne budowy w okolicy? postawiono kościoły, kamienice, stajnie! Co za świętokradztwo! Mówiono mi, jeszcze przed laty kilku były tu komnaty zapełnie całe? W tych okolicach miały być wielkie bitwy? —

Machnicki wciąż milczał, tylko się coraz widoczniej zachmurzał, czasem wyrzekł: tak—lub nie—porwał się potem z miejsca i zawołał:

- Po mojem królestwie nie można podróżować zwyczajnym sposobem wędrowców. Są pewne formy, których nie wolno przełamać. Chodź pan za mną — niebo coraz bardziej się zachmurza, będziemy mieli burzę, korzystajmy z pogody. —

Przyszliśmy wtedy pod jedną wieżę okrągłą, poszczerbioną, ale jeszcze znacznej wysokości.

— Masz pan mocną głowę? umiesz drapać się po murach? wejdziemy na tę wieżę. —

Zmierzyłem, opatrzyłem ją i wiedziałem, że po jej szczerbach, jak po schodach, można się na sam wierzch muru wydostać, przystałem więc na żądanie Machnickiego. On przodkował z nadwyczajną zręcznością; po chwili staliśmy na szczycie, nad wysokość reszty zamczyska wyżej niż wierzchołki drzew okolicznych, z widokiem swobodnym na wszystkie prawie strony.

— Co za widok! - zawołałem — sądzę, że promień jego ma przynajmniej kilka mil długości.—

— Kilka mil! — powtórzył Machnicki, patrząc mi w oczy, — i to poeta tak się wyraża? poeta tyle tylko widzi? *A ja, kiedy ja wejdę, kiedy położę oko na tych górach i trącę je myślą, wnet lecę chmurą grzbietami całego łańcucha Karpat, ocieram się o morze Czarne, przepływam Dniepr, biegnę drugim jego brzegiem, ponad Dźwiną przechodzę do Bałtyckiego morza, płynę jakiś czas morzem, zawijam w ujście Odry, i ponad Odrą wpadam znowu na Karpaty;* a zawsze pilnując się krawędzi tego horyzontu. Rozumiesz mię pan? —

— Nie wiem, czy tyle, ilebyś pan chciał być zrozumianym. —

W tej chwili na twarzy Machnickiego objawiała się jakaś dziwna wewnętrzna walka, jak żeby słowa

ogromnego znaczenia darły się do ust, a myśl tajemnicy gwałtem je zatrzymywała.

— Nie, nie! — zawołał w końcu — lepiej być niepojętym, jak narażonym na zdradę. —

Wnet postrzegł się, że wybuchnął z czemś niewłaściwem, zwrócił się ku mnie, wziął z dobrocią za rękę i pytał:

— Co ja powiedziałem? może niedorzeczność. Przebacz pan! — wszak wiesz, żem waryat — i ja to wiem. Ja sam często postrzegam, że mi się wymknie słowo, ni przyszył, ni przyłatał, jak powiadają. To waryacya, waryacya! Ale to nie waryacya, że potrzeba tak widzieć, jak ja widzę z tego miejsca, aby je pojąć. Wtedy dopiero wiedziałbyś pan, jak przyjmować powszednie bajeczki, które mu naklektano. Chodźmy stąd. —

Spuściliśmy się znowu na dół w milczeniu. Przez ten czas rozważając w duchu dziwną istotę Machnickiego, mniemałem dostrzedz w nim przeważający żywioł poetycki, który przy osłabionych innych władzach umysłu panował mu tem silniej i stał się dla jego duszy szkłem optycznem, pokazującem jej cały świat w postaciach powiększonych i upiękniónych za rzeczywisty; widziałem, że go radziła moja prozaiczna szczerota, odtąd więc postanowiłem być z nim poetą. W tem zamyśleniu postępowałem w głąb zwalisk, kiedy Machnicki wstrzymał mię:

— Za pozwoleniem!—rzekł—panu wolno tu błądzić, ale nie mnie. Pan nie widzisz, jak ja przeszłości; nie widzisz tu, jak ja, jej śladów ciężkobym przewinił, żebym się ich nie trzymał; okropniebym za to odpokutował. Chcesz pan mieć wyobrażenie mojej kary? pojrzyj na te miliony dokoła. Zresztą jako król mam także moje dworskie obrzędy, których się trzymać i których przestrzegać muszę. —

Zwróciliśmy się więc nazad, w kierunku południa i wyszliśmy zupełnie za obręb gruzów. O kilkanaście kroków leżał ogromny głaz samorodny. Machnicki podprowadził mię ku niemu i rzekł:

— Przedewszystkiem cześć grobom! Tu pod tym kamieniem leży ostatnie półtora wieku. Olbrzymie zwłoki! nieprawdaż? Kto nad nimi nie pomodlił się, ten jak

niegodny, niepoświęcony, wchodzi do tego zamku," do całej przeszłości. Poczem zdjął kapelusz, ukląkł, dał mi znak żebym to samo zrobił; wpatrzył się w kamień, nieznacznie twarz jego zmieniła się w bryłę bez wyrazu prawie życia, jak żeby duszę uniosło jakieś zachwycenie daleko od ciała; mimo to rzęsne łzy posypały się z oczu, a usta, jakby obcym głosem, jakby poruszone zewnętrzną sprężyną, przemawiały te słowa:

— Każesz! słucham. Jeszcze raz posiewam cię łzami. Na łzach mech wyrasta, ze mchu ziemia. W ziemi skrywa się ziarnko, [1]) z ziarnka strzela drzewo – tak Karpaty lasami porosły: tak ty grób porośniesz nowem życiem. Płyńcie łzy! policzą was kiedyś, zapłacą! —

Skończywszy ów dziwny monolog, był jeszcze jakąś chwilę w stanie zewnętrznego odrętwienia, powoli ruszył okiem, życie wróciło do twarzy, powstał, pojrzał na mnie i obcierając ślady łez, zapytał:

— Płakałem. Nie dziw się pan, — ile razy je widzę, tyle razy płakać muszę. Ale i to paroksyzm waryacyi, powiedzą sąsiedzi; nieprawdaż? O, gdyby każdy z nich miewał podobny przynajmniej raz z rana, a raz wieczór, ten zamek stałby jeszcze cały, a przynajmniej już odbudowany. Widzisz pan dokoła te głazy? Wszystko to są groby, ale jakie groby! Całe zastępy bohaterów, czyny wiekowe, miasta, wieki, kraje leżą pod nimi. Ten na boku naprzykład, u samego wchodu do zamku, kryje wyprawę wiedeńską... Ale za mało dziś czasu na obejrzenie całego cmentarza; burza nam przeszkodzi.—

W samej rzeczy, im wyżej słońce się podnosiło, tem większy zaduch napełniał powietrze, chmury gęstniały i grzmot burzy co chwila groził.

— Przebyliśmy święty próg zamku, możemy wejść wewnątrz! — rzekł Machnicki i szedł przodem.

Ostatnia scena przy głazie wpłynęła osobliwym sposobem na mój umysł, uderzyła naprawdę w poetyczną strunę duszy. Jakkolwiek poetyczność Machnickiego objawiała się zanadto może jaskrawo, była nią jednak, i przepłynęła do mojej fantanzyi, pozwólmy, że jak tchnienie zarazy. Owo przeobrażenie głazów prostych w podobne nagrobki zdało mi się być pomysłem, tak pięknym, otwierało

[1]) wyd. 1842: ziarko, z ziarka.

takie pole fantazyi, że mimowiestnie wszedłem w świat Machnickiego. Kupa gruzu przemieniła się dla mnie w zamek, jaki był przed wiekami; ściany się podniosły w rozgrody pokojów starożytnych, wysokich, chmury opadły jak sklepienia, wyciągnęły się długie korytarze, wyrosły z ziemi kolumny, a na nich rozwinęły się krużganki, okna pojrzały różnobarwnemi[1]) szybami, cały gmach odetchnął przeszłem życiem, w każdej części zmartwychwstały ślady mieszkańców. Głuchy odgłos dalekiego grzmiotu, było to echo naszego stąpania po brzmiących posadzkach. Nie spotykamy wprawdzie nikogo, wszędzie pusto i głucho, ale ta pustka, ta cisza są chwilowe: pan zamku wyjechał gdzieś z całem dworem, ale wróci. W możność takiego złudzenia nie wszyscy uwierzą; są, którzy je pojmą; krótko trwa ono, ale się przytrafia obłąkanym i poetom. Byłem właśnie w jego pełni, kiedym ujrzał w jedynem oknie rosnącą brzózkę. Jej korzeń trzymał się wewnętrznego gzymsu, a wierzchołek na zewnątrz za okno wychodził; gałęzie wisiały tak posępnie, biała kora tak żywo przypominała biały strój kobiecy, że mimowolnie zawołałem:

-- Jaka smutna! Jak gdyby wyglądała kochanka! Biedna! —

— Kto taki?—zapytał mię zdumiony Machnicki.

Postrzegłem się, odpowiedziałem więc uśmiechając się:

— Nic! nic! przewidzenie! nic więcej. — Naglił powtórnem zapytaniem, wyznałem, że w brzozie wyobraziłem sobie dziewicę.

— Cyt! — rzekł z cicha — wyjdźmy stąd. --

Ledwośmy odeszli, rzucił się na mnie z mocnym uściskiem i wołał:

— To nie złudzenie, to rzeczywistość, cud grobu, łaska grobu z panem. Czy wiesz, kogo widziałeś? — zapytał, uspokoiwszy się nieco.—To królowa Jadwiga. A widziałeś ją w najważniejszej chwili jej życia. Serce jej rozdarte jest najboleśniejszą raną. W jedną stronę ciągnie ją miłość Wilhelma, w drugą miłość narodu. Przemogło poświęcenie się dla narodu, ale boleść nie ustała. Wygląda z trwogą przybycia Jagiełły; przyjmuje go jak męża i pana, ale łzy dla kochanka płyną. Szczęśliwy,

[1]) wydanie 1842: rożnobarwemi.

kto ją widział w tej chwili, choć raz w życiu; widział on tryumf miłości narodu. Szczęśliwy jesteś. Dusza twoja przejrzała; spodziewałem się tego. Odtąd jeszcze otwarciej będziemy z sobą. I mnie ten widok nie obcy, ale rzadki. Najczęściej przedstawia mi się jak drzewko. Między nami gadają, że to wszystko było gdzieś tam, w jakimś Krakowie. Nie wierz temu; i Kraków tutaj, i cała ta scena tu się odbywała. Wiem to z ust własnych. —

— Pan z nią rozmawiasz? —

— Czy ja z nią rozmawiam! A po cóż byłbym królem tego zamku? Jeżeli w nim żyję, to dlatego, że i on żyje. Nic tu niema, coby nie żyło dla mnie, coby ze mną nie rozmawiało! O! jak mię nieraz bawią, a najczęściej gniewają ci powszedni ludzie, którzy tu czasem, nie wiem po co, przychodzą. Dla nich to drzewa, kwiaty, murawa, nic więcej, jak tylko zwyczajne drzewa, kwiaty i murawa. Biedni, gdyby im Bóg otworzył oczy, gdyby się chcieli porozumieć ze swoją duszą, padaliby tu na twarz przed każdym kwiatkiem, całowaliby w nogę każde drzewo, nie śmieliby stąpić po tej murawie. Zamieszkaliby tu chętnie na całe życie; i przez całe życie nie napatrzyliby się, nie nasłuchaliby się tego, co się tu działo i dzieje.

Tymczasem przewidywana burza podniosła się na wysokość zamku, powietrze całkiem ściemniało, grzmoty i błyski coraz bliżej się objawiały, i wiatr z niezwykłą się podniół gwałtownością. Nie spodziewając się takiej i tak prędkiej nawałnicy, nie zapewniłem sobie schronienia: począłem więc być niespokojny i zapytałem Machnickiego, czy nie wie gdzie blizkiej chaty, w którejbym bezpiecznie przeczekał pierwszą natarczywość burzy.

— Bądź pan spokojny! — odpowiedział — jestem królem w moim państwie, wszystko już obmyślone. Nie każdemu bym to zrobił, nie zrobiłem tego nikomu dotąd, ale pan masz wszelkie prawo do mojej gościnności, pod jednym warunkiem:

— Pod jakim? —

— Dasz mi najuroczystsze słowo, że nikt nie dowie się z jego przyczyny o miejscu, w którym się schronimy.—

Dałem słowo z chęcią.

— Chodź pan za mną. —

IV. Podziemie.

Związany słowem, danem przed chwilą Machnickiemu, muszę zawiesić na zawsze ciekawość czytelnika i zostawić w tem miejscu przerwę opowiadania, której może nigdy nie zapełnię. Wolno mi tylko powiedzieć, że nie wychodząc z obrębu gruzów zatrzymaliśmy się nad głazem znacznej wielkości, Machnicki zlecił mi obejrzeć się na wszystkie strony, czy nie jesteśmy widziani przez kogo obcego, a, kiedy to dopełniwszy, zwróciłem się ku niemu, ujrzałem ów kamień już podniesiony, a na jego miejscu ciemny otwór pod ziemią.

— Spuszczaj się prędko, — zawołał.

Zrobiłem, jak kazał, on skoczył za mną; w okamgnieniu kamień znowu zapadł i zostaliśmy w zupełnej ciemności.

— Taka jest brama mojej stolicy, — rzekł Machnicki — Idź pan za mną, trzymaj się ściany, a pamiętaj, że mamy przed sobą dwadzieścia schodów. —

Szedłem, trzymając się kroków przewodnika, macając ścianę i licząc stopnie. Schody były wygodne, szyja podziemia tak wązka że ledwie dwóch ludzi obok siebie pomieścić mogła, bez trudu więc szedłem. Na dwudziestym stopniu zatrzymaliśmy się: Machnicki skrzesał ognia, zapalił lampę, stojącą w małej framudze jakby umyślnie na to wykutej, i przemówił:

— To pierwszy dziedziniec mojego pałacu; cóż myślisz o nim? —

Powiodłem okiem dokoła i widziałem niekształtną jaskinię, obszerności tak nieznacznej, że jeden rzut oka z któregokolwiek punktu mógł ją całą ogarnąć, chociaż przy świetle tak słabem jak blask lampy. W utworzeniu jej nie widać było śladu sztuki: pod ścianami stały lub leżały ludzkie kości, na ścianach wisiało kilka zbroi starożytnych, mocno zardzewiałych.

— Zapewne to straż pałacowa? — rzekłem.

Machnicki potwierdził mój domysł skinieniem głowy. Głównie jednak zwróciły moją uwagę drzwi dosyć wielkie, żelazem pokryte, leżące po prawej ręce naszego wchodu.

— A to musi być wejście do podziemnego przechodu,

o którym powiadają, że się aż pod Krosno ciągnie. —

— Może i dalej—odpowiedział Machnicki obojętnie.

Po krótkiem zatrzymaniu się przystąpił do innych drzwi, podobnych pierwszym, a leżących przed nami, dobył klucza, otworzył je, sprowadził mię o kilka stopni niżej do innej jaskini, obszerniejszej nierównie niż poprzednia. Z pierwszego wejrzenia zgadłem, że to było jedno z owych okropnych więzień, które koniecznie wchodziły do budowy dawnych zamków; jeszcze wisiały szczątki łańcuchów na żelaznych kółkach, wpuszczanych w kamień na ołów. Machnicki, nie dając mi czasu do rozpatrzenia się, uchylił jedne z licznych drzwi pobocznych, wprowadził mię do nowej kryjówki z tajemniczem milczeniem, zapuścił w jej głąb wyciągniętą rękę z lampą, a ja wyraźnie ujrzałem pod ścianą drewniane i żelazne narzędzia tortur.

Mimowolny dreszcz przebiegł ciało, włosy stanęły na głowie, cofnąłem się za drzwi jak popchnięty. Okropna przeszłość miejsca zawisła przed myślą, jak czarna zasłona, a tłem jej przesuwały się w ognistem malowidle sceny tyranii, jakich kiedykolwiek naczytałem się lub nasłuchałem w opisach miejsc podobnych, jakie tylko wyobraźnia, przerażona ich widokiem, utworzyć sobie potrafi. Wrażenie to zagrało naraz we wszystkie zmysły, w powietrzu uczułem duszącą woń trupiej zgnilizny; każde uderzenie stopy o twardą posadzkę, odbite echem jaskini, zamieniło się w jęk przeciągły; ciemność i światło lampy, połamane wzajemną walką, wyglądały z poza kolumn samorodnych i z załomów skalistej ściany postaciami ofiar mniej więcej wyraźnemi, blademi; jak żyję, nie miałem podobnego widzenia.

Machnicki stał ciągle w izbie tortur; szybko zbliżyłem się ku niemu, a ujrzawszy przed nami nowe drzwi, na pół uchylone, chciałem wyjść przez nie i pociągnąłem za sobą Machnickiego.— O! nie—odezwał się Machnicki głosem uroczystym — z tego miejsca nie było i niema wyjścia, chyba tamtędy! —

Na tych słowach otworzył do reszty drzwi uchylone i wskazał za niemi stos kości w dole, a w górze

wązki otwór, przez który wpadało cokolwiek dniowego światła:

— Jest to cmentarz więzienia! —

— Wychodźmy stąd! — zawołałem z niecierpliwością — wychodźmy którędykolwiek, byleśmy wyszli! i drżąc mimowolnym dreszczem, ciągnąłem w tył Machnickiego.

On przeciwnie miał twarz ciągle obojętną, zimną; uległ mi jednak i wrócił do jaskini więzienia, ale tutaj zatrzymał się, utkwił we mnie przenikające oczy i mówił powoli, zatrzymując się na pewnych wyrazach, niby przywiązując do nich większą wagę.

— Tak jest to więzienie zamkowe. Miejsce okropne, okropniejsze może, niż ci się wydaje, bo nie widzisz w niem nic więcej nad więzienie zamku, a ja... ja coś więcej tu widzę. Jestem jednak spokojny, przynajmniej taki jak zawsze, a ty drżysz, jesteś cały zmnieniony. Dziwi mię to. Cóż lepszego twój świat, w którym żyjesz? O rozumni ludzi jacy wy zabawni, dziwni! Nie obudzisz ich pojęcia, nie domacasz się ich duszy, dopóki nie skupisz wrażeń w jeden piorun i nie uderzysz ich zmysłów jak piorunem. We wszystkiem zmysły, nigdzie duszy. Nigdzie duszy, któraby swoją potęgą ogarnęła przestrzenie i miliony, skupiła je w mikroskropie jednej myśli jednego uczucia. Daj mu za więzenie obszar kilku tysięcy mil, a ma się za wolnego; morduj wokoło niego tysiące, niech tylko nie słyszy ich jęku, nie widzi ich trupów, a będzie dobrze jadł, spokojnie spał, będzie wesoły, szczęśliwy, jak w raju. Dopiero kiedy go wprowadzisz między ściany jaskini, kiedy mu pokażesz kości zamordowanych, zabrzęczysz w uszy łańcuchami, kiedy mu powiesz: oto twój świat, oto twoje życie, dopiero wtedy ocknie się, zadrży, jakby mu powiedziano coś nowego; tacy ludzie mają być ludźmi zdrowego rozsądku? silnych zmysłów? a ja ci powiadam, że to są ludzie zmysłów zuzytych, niedołężnej myśli skrępowanego ducha. Cała ich mądrość, że znają kilka liter zmysłowych, nie mają wyobrażenia o języku duszy, bez którego i sam się nie nauczysz, i nie nauczysz drugich nic szlachetnego, nic wzniosłego. —

Zatrzymał się chwilę, a zmieniając nagle ton głosu i cały wyraz twarzy w łagodniejszy:

— Przebacz! — zawołał — przebacz waryatowi to kazanie. Nie do ciebie ono wymierzone. Nie kładę ciebie na równi z resztą ludzi. Dałeś mi już niejeden dowód, że dusza twoja ma widzenie silniejsze, rozleglejsze; nie jest na łasce zmysłów. Gadałem sobie ot tak! z potrzeby wygadania się, w chęci jak najbliższego poznania się z tobą, gadałem, bo to jest rozkosz pomówić z człowiekiem, którz nasz język zrozumie.—Teraz pójdziemy dalej.

Mimo wszystkiego, co Machnicki dopiero powiedział, opuściłem więzienie z prawdziwą przyjemnością. Wróciliśmy drogą, którąśmy przyszli. Zatrzymaliśmy się znowu w jaskini wyższej, przede drzwiami, o których już spominałem, a które według wszelkiego podobieństwa zamykały podziemną wycieczkę z zamku na zewnątrz.

Drzwi były mocne i ciężkie; z głuchym zgrzytem ustąpiły pod Machnickiego ręką i odsłoniły nam nowy kurytarz dosyć przestronny, przykro w dół spadający; jakoż po kilku krokach zaczął się nowy szereg stopni, prowadzących coraz głębiej. Skracając o ile można i trzeba opowiadanie, nadmienię[1]) tylko że przebyliśmy pięć czy sześć jaskiń rozmaitej wielkości i tyleż schodów mniej więcej liczaych. Głębokości, w jakiej byliśmy, po niczem zmiarkować nie mogłem; zdawała mi się jednak ogromną. Szliśmy ciągle podziemiem skalistem. W niektórych miejscach ślad ręki ludzkiej był widoczny, częściej samorodna objawiała się przyroda Uważałem także nieraz mniej więcej obszerne w ścianach otwory, z których domyślałem się różnokierunkowych rozgałęzień tegoż samego przechodu. Szliśmy w takiem milczeniu, że przewodnik nie odpowiedział nawet na kilka zapytań, które mu w ciągu tej wędrówki zrobiłem. Było w tem milczeniu coś uroczystego.

W dziwny też stan przechodziły wyobraźnia, dusza i wszystkie moje władze; kto nie był w podobnem położeniu, ten nie zdoła utworzyć sobie jego pojęcia. Na to potrzeba znajdować się o sto przynajmniej sążni pod ziemią, śród skał nagich, dzikich, jednostajnych, ze wspomnieniami tylko dniowego światła i żyjącej przyrody, w ciszy tak zupełnej, że odgłos burzy, nieustannie piorunującej i z całą potęgą, wyraźny z początku, głuchnąc

[1]) wyd. 1842: namienię.

stopniami, objawiał się teraz jedynie w ciągłem prawie drżeniu ziemi i dziwnym jakimś krzęku głazów, którego po żadnym wiadomym nam dźwięku wyobrazić sobie nie można. Nie pojmowałem równie, dlaczego mimo większej coraz głębokości odgłos ten zamieniał się w coraz wyraźniejszy huk piorunów. Nagle huk ten rozległ się grzmotem tak silnym, jak żebyśmy zwyczajną tylko ścianą podzieleni byli od reszty świata.

Machnicki zatrzymał się, w twarzy jego ujrzałem podniesienie ducha, promieniące na tle pogodnego, cichego zadowolenia, a w całej postawie coś tryumfalnego.

— Słyszałeś ten piorun? — zapytał mnie.

— Słyszałem. —

— Wiesz, co on znaczy? —

Odpowiedź w duchu zapytującego niełatwa była. Machnicki, bądź widząc mój kłopot, bądź przez zwykłą sobie żywość, która często nasuwała mu rozwiązanie własnych jego zapytań, przyszedł mi teraz w pomoc.

— To strzał powitania! — odpowiedział — powitanie królewskie, nieprawdaż? A tę niespodziankę winien jestem mojemu gościowi — tak, tobie, jak na ten raz jestem ją winien, mój gościu szanowny! — dodał, ściskając mię serdecznie za rękę. Za chwilę sam to pojmiesz. —

Po tych słowach postąpiliśmy naprzód kilka kroków, stanęliśmy przed niewielkiemi drzwiami; Machnicki otworzył je lekkiem ku sobie pociągnięciem i wprowadził mię do nowej jaskini.

Tu obracając się do mnie, rzekł z pewną urzędową powagą:

— Nakoniec jesteśmy u celu naszej wędrówki. Otóż i stolica Króla zamczyska. Stolica, pałac, więzienie, piekło, raj, co chcesz. Ale o to mniejsza. dosyć, że cię witam w tej chwili, jak gospodarz gościa, jak brat brata; powitanie królewskie na później zostawimy. Jesteś znużony, nieprawdaż? odbyłeś przechadzkę mordującą, pora późna, lekki posiłek nie zawadzi, wszak tak? pozwolisz więc, że zacznę od ugoszczenia podróżnego. Gościnność to cnota naszych przodków rodzima, wielkia, święta, jeden z klejnotów domowego ich życia. Znam całą wartość

podobnych skarbów; nie pozbyłbym się najlichszego z nich za nic w świecie; to podstawa publicznej narodowej potęgi. A jeżeli kto, to król powinien dawać przykład troskliwości o nie. Siadaj więc i spocznij. Albo lepiej zostawiam ci zupełną wolność. Jesteś zapewne ciekawy rozpatrzyć się w moim pałacu. Rób, co ci się podoba, ja tymczasem zajmę się posiłkiem. —

To pozwolenie było mi bardzo na rękę. Pałac Machnickiego, jak go nazwał, zasługiwał ze wszech miar na bliższe rozpatrzenie się, sądzę nawet, że rysem jego dogodzę potrzebie czytelników, którzyby mieli dłuższą cierpliwość towarzyszyć aż do końca mojemu pobytowi z Machnickim.

Jaskinia ta była obszerniejsza, jak wszystkie zwiedzone dotąd, miała ona kształt wielokąta okrągłego, około pięćdziesięciu stóp obwodu, ile od oka sądzić mogłem. Do jej budowy wchodziłv dwa ogromne głazy, poziomo względem siebie leżące, niższa, główna część pieczary wykuta była w głazie spodnim, wierzchni zaś, wyżłobiony wklęsło, tworzył sklepienie, rozdzielała je szeroka szczelina, opasująca niby gzymsem całą jaskinię. Szczelina ta, w stronie przeciwległej drzwiom wchodowym, rozszerzona sztuką w okrągłe otwory, a zresztą założona kamieniami, zamieniała się w samorodne okna, które przez swój kształt lejkowaty na zewnątrz jaskini dawały swobodny widok na ogromne płaszczyzny, u stóp zamkowej góry leżące, i wpuszczały wewnątrz tyle dniowego światła, ile go potrzeba było, aby się obejść bez sztucznego oświecenia. Dotąd dwa takie okna widziałem, za ich pomocą przekonałem się, że góra z tej strony zbiegała urwisto do dołu. Wewnętrzne urządzenie i przyozdobienie pieczary dziwny miało pozór: ściany, sklepienia, posadzka nawet były mchem nałożone tak grubo, że widok głazu ginął pod nim zupełnie. Kątowatość jej obwodu tworzyła kilkanaście ścian, z których co druga ściana wyrobiona była w głęboką framugę. Ściany wystające, ozdobione trofeami ze strzał, mieczów, strzelb, pancerzy[1]) i innej broni, bądź dawnej, bądź nowszej, tak że to ubranie dawało pieczarze pozór zbrojowni, a przynajmniej jakiegoś muzeum rycerskiego; gdzieniegdzie

[1]) wyd. 1842: pancerzów.

wisiały herby kamienne, ocalone widać resztki z gruzów zamczyska, kilka starych portretów, a nawet kości ludzkie, pomieszane w trofea broni. Szczelinę, o której spomniałem wyżej, że opasywała pieczarę nakształt grzymsu, przeozdabiał łańcuch kul rozmaitej wielkości, poprzerywany w odstępach, wymierzonych trupiemi głowami, co wszystko razem dziwny przedstawiało widok i niepojęte robiło wrażdnie. Za ramy do framug służyły pęki młodych drzewek: każdy pęk, przewiązany w połowie swojej wysokości, rozdzielał się od przewiązki na dwie części i wierzchołkami ich łączył się na obie strony z pękiem najbliższym, w tenże sposób urządzonym; tworzył się stąd dokoła pieczary szereg kolumn i łuków gotyckich. Nadto pod każdą ścianą były wygodne siedzenia z kamienia, jednorodnego ze ścianami. Framugi zasłoniono makatami i adamaszkami, ocalonymi widać szczątkami zamkowych obić.

Najwięcej zajęła mię framuga, leżąca naprost drzwi wchodowych. Po obu stronach jej otworu stały dwa szkielety, odziane całkowitem uzbrojeniem dawnych husarzy, z kopiami tak nachylonemi ku sobie, że proporce ich, zwisłe aż do ziemi, układały się w rodzaj zasłony. Nad wnijściem wisiał rozpięty orzeł rzeczywisty.

Idąc od tego miejsca ku drzwiom lewą stroną pieczary, w najpierwszej z porządku framudze znajdował się mały księgozbiór; składał się on w kilkuset książek, między któremi największa część, jak mi się zdawało, starych kronik, na środku stał stolik do pisania z całym stosownym przyborem i wygodnem staroświeckiem krzesłem. Sam stolik roboty prostej, ale dosyć starannie ogładzony, leżał na czterech kłockach, korą okrytych, po dwa w głoskę X związanych a tak był ustawiony pod jednem ze spomnianych okien, że pasmo światła jak raz na niego padoło i pracującego przy nim oświecało dostatecznie. Na stole leżała ogromna księga, w większej połowie zapisana. W następnej framudze była sypialnia Machnickiego: za łóżko słyżyła ogromna kamienna płyta, wzniesiona na pół łokcia nad posadzkę i grubo mchem usłana; pościel zaś składała się z łosiej skóry, poduszki skórzanej i koca do przykrywania się.

Co się tyczy innych framug, wszystkie prawie służyły za skład jakiś: i tak jedna zapełniona była

materyałami, potrzebnymi do stolarki, ślusarki, szewstwa i krawiectwa; w drugiej złożone były stosownie do różnych rzemiosł narzędzia, jako to: siekiery, heble, piłki; w dalszych mieściła się spiżarnia: składała się ona z owoców, nabiału przyprawnego, suchych ryb, wędzonych mięs, jarzyn, chleba, i tem podobnej żywności. O ile tamte miały pozór powszedni, o tyle zajęła mię ostatnia. Leżała ona po prawej ręce miejsca, zasłonionego proporcami, pod oknem do pierwszego podobnem, odpowiadając bibliotece. Miała kształt półokrągły, wysłana była mchem jak cała pieczara, tylko nierównie ozdobniej i smakowiciej, bo na tło mchu rozrzucono konchy, muszle, świecące kamyki, szkła różnokolorowe, robaczki o błyszczących skrzydełkach i tym podobne. Głównie jednak przyozdabiało ją okrągłe, jasne źródło, leżało ono śród posadzki jak okrągłe lustro: zrównoważony przypływ i odpływ wody utrzymał je w stanie wiecznego wygładzenia, dodawało mu blasku okno, jakby umyślnie na to wyrobione, ożywiał zaś lekki, podziemny szelest, który szeptał o tajemniczych drogach jej nurtów, a nie kłócił bynajmniej spokoju powierzchni. Musiała to być godowa izba Machnickiego, gdyż u dołu całej ściany wystawało półkolem kamienne siedzenie, a siedzenia dotykał stolik, umieszczony jak raz na jego połowie: w tej chwili stało na nim śniadanie, do którego właśnie mię wezwano. Wprawdzie dostarczyła go tylko spiżarnia Machnickiego, nie było tam nic więcej prócz sera, masła, owoców, mięs wędzonych i chleba, a za cały napój woda, pod bokiem stojąca, ale tak potrzebowałem jakiegokolwiek pokarmu, spotkałem się z nim w tak dziwnym miejscu i położeniu, zawezwano mię z taką serdecznością, że w całem życiu nie pamiętam chwili jedzenia, przyjemniej spędzonej. Mogłem oddać się zupełnie tej przyjemności, bo uprzejmy gospodarz wziął na siebie wszystkie niedogodności podobnej we dwóch biesiady, nawet rozmowę; przedmiot jej sam się nastręczał.

— Skromny posiłek—mówił on—skromny, a nawet lichy, to prawda; ale królewski, wysoce królewski. Komuż przystoi bardziej żyć podobnie, jeżeli nie królowi, jeżeli nie takiemu jak ja człowiekowi, który z wysokości swojego stanowiska, ogarnia, a przynajmniej powinien

ogarniać miliony biedaków, widzieć wszystko ich potrzeby, czuć wszystkie nędze. O tak! niech mi się w truciznę zamieni pierwszy kąsek, który pożyję bez koniecznej potrzeby, niech mój żołądek na wieki się zamknie, jak tylko zażąda zbytkowego pokarmu. Jem tylko tyle, abym żył, tylko tyle, w całem znaczeniu tego wyrazu. Zresztą odwykłem od waszych przyprawnych potraw. Zginąłbym, gdybym zechciał żyć po waszemu. Zaszedłem z przyrodą tak daleko, w tak bezpośrednie stosunki, że jużbym nie mógł przeniewierzyć się jej bezkarnie. Grzeszę jednak czasami, ale Bóg świadkiem, że mimowolnie. Kiedy niekiedy muszę zamieszać się pomiędzy ludzi, bo zwykle całe zimy pomiędzy nimi przepędzam dla spraw mojego królestwa, a wówczas rad nierad muszę zastosować się choć w części do ich sposobu życia. O! gdybyś wiedział, jak drogo muszę opłacać te wykraczania; ciężko pokutuję za nie. Pomijam choroby, tortury ciała; ale umysł, serce, dusza wszystko idzie pod chłostę, myśl gaśnie, serce stygnie, dusza wpada w jakiś dziwny zawrót, opuszcza mię cała moja królewskość; nieraz jestem już bliski zostania jednym z waszych rozsądnych. Dzięki Bogu, że to wszystko trwa pewny czas tylko; pokuta przemija, jednam się z przyrodą, państwo wraca do posłuszeństwa i jestem znowu królem, jak byłem. Ale o to mniejsza. Jakże znajdujesz moje królewskie mieszkanie?—

— Prześliczne! — odpowiedziałem bez namysłu— dziwne! tak poetyczne, że opis jego może się wydać zmyśleniem, jednem słowem godne całego państwa i jego władcy. A uwielbieniu temu równa się ciekawość...

— Rozumiem — przerwał Machnicki — chciałbyś wiedzieć, skąd się ono poczęło i jak przyszło do tego stanu?—Będziesz to wiedział w swoim czasie; przebacz, że nie zaraz. Powieść za długa, a rzecz ważna, jedna ze swiętych dla mnie tajemnic; ubliżyłbym jej, gdybym ją wyłożył na stół zamiast wetów. Żeby ją godnie opowiedzieć i usłyszeć, potrzeba stosowniejszego miejsca i pory, niż chwila jedzenia i stół, zastawiony jadłem. Ułatwimy[1]) się wprzódy z jednem.

---

[1]) wyd. 1842: ułatwiemy.

Nieposłuszeństwo byłoby niewczesne i bezskuteczne; poszedłem więc w milczeniu za radą gospodarza; wiedziałem nadto, że nie stracę na tem, jeśli mu zostawię zupełną swobodę postępowania. Skłonność wywnętrzenia się posuwała się w Machnickim aż do namiętności, aż do słabości; podawał się jej tem swobodniej, z tem większą rozkoszą, im powolniejszego znajdował słuchacza; wtedy powiedział więcej, niżby chciał powiedzieć. Powinienem jeszcze wyznać, że rozmowa jego bynajmniej mię nie nużyła, przeciwnie miała dla mnie szczególniejszy urok. Tyle tam było życia w głosie, tyle uczucia w każdym ruchu, tyle duszy w całej postawie, tyle wzniosłej fantazyi w pomysłach, tyle trafnego sądu w uwagach, wogóle taka logiczność, ma się rozumieć logiczność właściwa stanowisku, z którego na wszystko zapatrywał się Machnicki, tyle prawdy i pożytecznej nauki w głębi jego obłąkania, pod dziwaczną barwą panującej myśli, w samej tej myśli coś tak niepospolitego, coś tak rzewnego, że porwany wirem improwizacyi zapominałem o Królu zamczyska, o obłąkańcu, a wchodziłem mimowolnie w stan człowieka; który czyta piękną fantastyczną powieść, lub patrzy na podstawę jakiej fantastycznej sceny.

Znalazłem się właśnie w podobnym stanie, kiedy Machnicki po krótkiem milczeniu znowu tak zaczął z uśmiechem zadowolenia, że znalazłem jego mieszkanie, jak sobie życzył:

— Przyznajesz więc, że mój pałac jest prawdziwie królewski. Spodziewałem się tego, bo wiem, że patrzysz okiem duszy niepospolitej. Ale dotąd widzisz tylko ciało; nabierze ono większej wartości, kiedy ci odsłonię jego duszę, bo w każdej rzeczy dusza jest wszystkiem. Stąd zwyczajni ludzie w ciągłem są złudzeniu, że z powierzchowności tylko sądzą. Któryż z nich, wejrzawszy na górę zamczyska, domyśli się miejsca, w którem oto jesteśmy, i życia, które tu w tej chwili pracuje? —

-- Zmyślenie! bajka! zawołaliby, gdybyś im o tem powiadał. Sami jednak wiecznie tworzą kłamstwa i wierzą kłamstwom. Naprzykład na karb tego zamku i jego

króla, Bóg nie wie, co plotą, a wszystko tak prozaiczne, drobne, nikczemne. W niczem śladu, w niczem promyka wielkiej myśli.

— Koniec końców, zamek dla nich to tylko budynek kilkuwiekowy, dzisiaj gruzy na nic nie przydatne, chyba na materyał do jakiej gorzelni. Machnicki? ot sobie waryat, ale nic więcej i zamykają usta spokojni, jak żeby największą prawdę powiedzieli. Nie lepsze od nich kroniki, a przynajmniej mało co lepsze. Co to za nędza te wszyskie kroniki! wierzyłem im kiedyś, mam je dotąd jeszcze ale dzisiaj nie wierzę. Prawda, trzeba było cudu, żeby mi się oczy otwarły, ale się otwarły: jestem dziś w samem źródle prawdy. Spytaj kronik o początkach tego zamku, odpowiedzą ci: o, dawny! kilka już wieków stoi. Nie wiedzą nic o tem, że on trwa od potopu. Ziarno jego przepłynęło z wodami potopu, z raju; spoczęło w tej pieczarze, przebiło swoim kiełkiem skały i wyrosło w zamek. Z czasem, z czasem zamek praojciec rozpuścił swoje korzenie podziemne, Bóg wie jak daleko, za dziesiąte góry, za dziesiąte wody. Bóg wie, jakie zamki powstały z jego odrośli: warszawski, krakowski, gnieźnieński i krocie innych, i Bóg wie, jakie jeszcze powstaną, ale to tylko odrośle, główny ich korzeń tutaj, tutaj kołyska ich dziejów.

— Zdziwisz się, kiedy ci opowiem z pewnością, że tutaj mieszkali wszyscy królowie od pierwszego aż do mnie, owe Lechy, Krakusy, którzy nie byli ani takimi Lechami i Krakusami, jak nam kroniki przedstawiają, i żyli nierównie dawniej, niż pamięć naszych kronik zasięga. Tu miały miejsce najważniejsze wypadki naszych dziejów. Chwile najwznioślejsze, najrzewniejsze, najokropniejsze naszego życia, mają tu swoje groby i pomniki mówię o tych, które dziejopisowie z łaski swojej zanotowali a dopieroż te, o których nie zasłyszeli, których ani się domyślali! I nie mogli zrobić lepiej, bo nie znali tego miejsca, nie żyli w niem, nie spoili się z niem duszą, a tylko tutaj mogli czerpać wiadomość całej przeszłości, bo tu jest jądro naszego życia.

— Powiadam ci: niema tu ptaka, któryby o tej przeszłości nie śpiewał, niema wiatru, któryby nie wzdychał jej smutkiem, niema kropli rosy, którąby jej łzą nie była: zapytaj każdego cienia chmury, co się po tych

gruzach przesuwa, każdego tententu, ilekroć nogę postawisz, zapytaj tej wody, co tam wiecznie szepce, a usłyszysz taką powieść, jakiej żaden pisarz dotąd nie wymyślił i wymyślić nie zdoła, trzeba tylko umieć zapytać i słuchać.

— Ten orzeł, co go widzisz nad proporcami, to pierwszy orzeł biały, co się wzniósł nad tą ziemią, on jeden opowie ci całe jej życie.

— Dlatego to osiadłem i zamknąłem się tutaj. Aby ratować życie, trzeba zejść do jego źródła.

— Wyobraźże sobie moją[1] rozpacz, moją wściekłość, kiedy przyjdę do szlachcica i mówię: mój panie, zamek coraz bardziej niszczeje! — a on mi odpowiada: prawda! ale to takim tonem, jak żeby przyświadczał, że słońce świeci, albo deszcz pada, a myślał o czem innem. Zniecierpliwiony wołam: zamek opada, powtarzam panu, trzeba go ratować wszelkiemi siłami, jak najprędzej; on zaś na to: niewarto zachodu. Czasem zrobi uwagę, że będzie ładny las w tem miejscu, albo zacznie ubolewać: co za szkoda, że tyle gruzów, byłby kawał roli i kilka kóp zboża.

— Obłąkani! głową i sercem! chcieliby wszędzie widzieć swoje liche budowy, swoje warsztaty, swoje zboże. Nie wiedzą o tem, że są miejsca na ziemi, którym jedynie przeznaczono wydawać myśl, pożywienie dusz milonów; obróć je na użytek pojedyńczego ciała, a będziesz winny świętokradztwa, popełnisz zabójstwo na duszy narodu. Ale do tego nie przyjdzie. Od czegoż byłbym królem? O! dopóki żyję, nie przyjdzie do tego. Oprę się całą potęgą mojej duszy i duszy zamku. Z ziemią, z powłoką mogą z robić, co się im podoba, mają przemoc, ale nie dotkną życia przechowam je, ocalę, oddam w ręce pewne, w silniejsze od moich, a wtedy biada, biada samolubom i zdrajcom! —

Nagle umilkł: pierś jego robiła silnem wzburzeniem, w oczach gorzał ogień rozpłomienionej duszy, marszczki czoła połamały się w tajemnicze charaktery groźby, nie widziałem jeszcze podobnego wyrazu w jego twarzy, w niczyjej może twarzy nie widziałem dotąd wyrazu oburzenia, któryby obok tego łączył w sobie tyle dzikiej

[1]) wyd. 1842 stale: moję.

energii i wzniosłości; udałem jednak, że uniesienie to uszło mojej baczności i mniemałem ulżyć jemu, zwracając rozmowę do innego przedmiotu.

— Co za szkoda — rzekłem — że wszystko, co tu widzę, co słyszę, czego zresztą wolno mi domyślać się, pozostanie może na zawsze w twojej tylko duszy, zacny panie Machnicki, albo zagaśnie w cieniach twojego podziemia. A tymczasem wiadomość tych dziwów, tych dziejów, o których mi napomknąłeś, mogłaby przynieść światu wiele korzyści, kto wie. czy nawet nie jest mu konieczną. Człowiek człowiekowi, pokolenie pokoleniu zdają swoje prace: tym tylko sposobem dokonywają się wielkie dzieła. Szkoda więc byłaby, żebyś zeszedł bez następcy i bez zostawienia śladu twojej pracy i twoich wiadomości. —

Niewinny mój wybieg udał mi się; tejże chwili postrzegłem w Machnickim zmianę, jakiej pragnąłem; burza uczuć ustąpiła z twarzy, została tylko po niej pewna uroczystość; z tą uroczystością słuchał mię cierpliwie i odpowiedział, skoro mówić przestałem:

— Obawa twoja chwalebna, ale w tym razie próżna. Następca, mój następca... opatrzność go wynajdzie, jak mnie wynalazła. Praca moja nie przejdzie bez śladu. Przekonam cię natychmiast. —

Poprowadził mię ku stolikowi, na którym leżała zauważana już przezemnie ogromna księga.

— W tej księdze — rzekł — wszystko znajdzie ten, kto będzie powołany kończyć moje roboty. Są tu dzieje moje, dzieje państwa, cała jego przeszłość i stan obecny, jest tu wątek wszystkich spraw, jego prawodawstwo, polityka, proroctwa nawet, zgoła wszystka mądrość mojego państwa. Nieomylny to przewodnik królów zamczyska. Nie sądź, że przywiązuję do tej księgi większą wagę niż warta, że to jest księga zwyczajna, zwyczajnie pisana. Nie sądź tak. Pisało ją pióro anioła pod natchnieniem anioła tego zamku, który wiecznie stoi nad nim i świeci jak południe, wszystko też w mojej księdze jasne jak południe, święte jak anioł, prawdziwe jego obecność w tych miejscach.

— Czyja zaś ręka pisała? czasem moja, nie zawsze moja, a często mnie nawet nie wiadoma. Oto masz dowód. —

Przerzucił kilkanaście kart i pokazał mi w samej rzeczy kilka charakterów całkiem oddmiennych, jak żeby inną ręką pisanych, co jednak łatwo sobie wytłómaczyć bez uciekania się do nadzwyczajnych przyczyn, że obłąkaniec z tak silną wyobraźnią zdolny był w gwałtowniejszych przystępach swojej choroby albo całkiem utracić świadomość siebie, albo uważać się za osobę, której rolę przybrać mu się podobało.

— Na tem nie koniec! — mówił dalej — dam ci jeszcze ważniejszy dowód, że myślę o przyszłości mojego państwa i nie chcę zamknąć w sobie samym jego tajemnic. Przystąpimy więc do najważniejszego obrzędu.

— Dotąd biliśmy z sobą, jak gospodarz z gościem, jak prywatny z prywatnym, czas już, abyś mię obaczył w całej ozdobie królewskiej, poznał ostatecznie Króla zamczyska. Nie myśl, żeby mnie do tego pobudzało proste przywidzenie, o nie! mam ci objawić takie rzeczy, których mi nie wolno objawić, tylko z mojego tronu, pod zasłoną królewskiej powagi a może i pod bodźcem królewskich cierpień. Pamiętaj nadewszystko, że tym czynem dowodzę ci nadzwyczajnej mojej przychylności, nadzwyczajnego zaufania. Pewny jestem, że mnie nie zawiedziesz. Rozstańmy się teraz na chwilę. Przez ten czas masz wolność przepatrywać moją kronikę. Nie dziw się, jeżeli za długo zostawię cię w oczekiwaniu. Są pewne obrzędy przygotowawcze, bez których dopełniania nie wolno mi dawać uroczystego posłuchania.—

To rzekłszy, skinął ręką na pożegnanie i wszedł pod zasłonę proporców, a ja zacząłem przezierać zostawioną mi księgę.

V. Historya Machnickiego.

Korzystając ze względów Machnickiego, starałem się przejrzeć jego kronikę w czasie jak można było najkrótszym; byłem prawie pewny, że niedługo zostawi mnie sam na sam, przeleciałem ją więc raczej oczami, aniżeli czytałem. Mimo tego pośpiechu udało mi się zatrzymać uwagę w kilku miejscach i powziąść z nich wyobrażenie o duchu całości.

Dziwna to była księga: dziwna jak stan umysłowy

jej twórcy. Taż mieszanina, co w rozmowie, logiczności i bezładu, głębokiej filozofii i obłąkania, wniosków najsurowszej rozwagi i zapędów rozkiełznanej wyobraźni, cierpień urojonych i rzeczywistych, wiary w nadzwyczajne powołanie, gorzkich wyrzekań na świat spółczesny, przeczuć, widzeń, proroctw: często wzniosła, nieraz mądra, poezyą ubarwiona wszędzie, cała jednak nie była niczem więcej, jak igraszką wyobraźni: obracała się głównie na jednem przywidzeniu i z niego rozwijała świat rzeczywisty, życie w sferach urojenia; stąd ciemna po większej części i niepojęta dla umysłów niewtajemniczonych. Głównym jej przedmiotem były sprawy państwa, porządkiem dziennym zapisywane: znalazłeś tam prawa, postanowienia, urządzenia, protokoły narad gabinetowych, stosunki z innemi podobnego rodzaju mocarstwami, wojny, przymierza, traktaty, obok nich czytałeś sprawy, dotyczące osoby Machnickiego, jego pożycia codziennego z ludźmi, z przyrodą; z tego względu był to rodzaj dziennika, który obejmował najdrobniejsze szczegóły życia, najmniejszą czynność myśli, przygody, uwagi wszelkiego rodzaju, pomysły, marzenia, powiastki! wszystkie prawie z niezwyczajnych źródeł i dotyczące przeszłości królestwa, nawet poezye. Ale klucz do zrozumienia wszystkiego miał tylko Machnicki. Była to kronika świata, który on sam stworzył z żywiołów jemu tylko wiadomych i zaludnił istotami, którym, jak pierwszy człowiek, nadał swoje nazwiska. Weszło w ten świat wszystko; co należało do obrębu Zamczyska, dało się przeczuć w jego głębiach, lub miało z niem bezpośrednią styczność: ziemia, woda, skały, kwiaty, murawa, samo powietrze, wszystkie przypadłości światła i cienia, pogody i niepogody. Wszystko, aż do kropli rosy, zwało się, żyło, miało swój stosunek z całością, swoje w niej posłannictwo: wszystko związane było w ogół kraju i narodu. Ten kraj rozdrobiony był na podrzędne podziały, nieraz jeden głaz, jedno drzewo, stanowiły prowincyę. Pory roku, niebieskie światła, zmiany powietrza, występowały tam jak mocarstwa przyjazne państwa Machnickiego, miały swoje nazwiska, prowadziły z nim wojny mrozem, skwarem, niepogodą, staczały bitwy wichrami, burzami, piorunami. Kości, szkielety, składały wojsko

państwa i dwór królewski. Cokolwiek mogło jakiś dźwięk wydać, śpiewało mu jak muzyk, jak poeta, rozmawiało z nim, dostrzegłem w kronice niejednej pieśni, przepisanej z ust skowronka, kruka, lub skrzypiącego drzewa niejednej powieści, którą wygadał jakiś wiatr, wzdychający samotnie śród gruzów, jakieś źródełko, szepcące z kamykami, a ten wiatr, to źródło opisane było we wcieleniu fantastycznem, wymienione po imieniu. Co tylko poeta zdoła wymarzyć najniewyraźniej, Machnicki odział to w kształty, ożywił, związał w jeden ogół, zamienił w świat rzeczywisty dla siebie i w ruch działania puścił. Takiego tylko mogłem nabyć pojęcia owej kroniki, raz że nie miałem przed sobą, jak tom piąty, potem że go przebiegałem z wielkim pośpiechem, nakoniec że jeszcze i w tem tak pospiesznem czytaniu miałem roztargnienie. Przyczyną mojego roztargnienia była dziwna scena za proporcami, widać scena wstępna do posłuchania. Dotąd nie umiem jej sobie wytłumaczyć, ale słyszałem to głośną rozmowę Machnickiego, to jęki jego przytłumione, te łoskot jakby biczowania się, to brzęk licznych dzwonków, przeplatane długą, głęboką ciszą.

Nagle rozsunęły się proporce i odsłoniły wnętrze framugi, nieznanej mi dotąd. Ściana jej była czemś czarnem powleczona, w głębi, przy samej ścianie, nawprost otworu, stał krzyż czerwony, takiej wielkości, że końcami ramion dosięgał ścian pobocznych, a wierzchołkiem okna, mającego tenże kształt, co dwa powyżej opisane, i umieszczonego na tejże samej wysokości. Na środku było podniesienie z wielkich głazów, gdzie stało obszerne krzesło, powleczone gdańską skórą, z ledwo dojrzanymi śladami złocistych wzorów, przed krzesłem stał niewielki stolik, na nim leżał kostur[1]) niezgrabnie wyrobiony i rózga brzozowa! po obu stronach stolika dwa krzesła mniejsze, a wszystko w smaku sprzętów, jakie dziś jeszcze widzieć można po starych naszych zamkach.

Machnicki stał między stolikiem a wielkiem krzesłem. Odziany był suknią zrobioną krojem hiszpańskim z łatek rozmaitej barwy, na głowie miał czapkę z podobnych łatek, okrągłą! spiczastą, ubraną w błyskotki i dzwonki, krótko mówiąc, taką, jaką dawniej trefnisie

[1]) wyd. 1842: kosztur.

nosili, nadto otaczał ją na czole uwiędły wieniec z gałązek dzikiej róży. Niemniejszą zmianę, jak w stroju, postrzegłem w Machnickiego obliczu. Pogodne przedtem, dobroduszne, przybrało teraz jakiś dziki wyraz gniewu, ponurej surowości, wewnętrznego cierpienia, a nawet obłąkania. wyraźniejszego jak zazwyczaj. Ubiór zapewne niemało przyczynił się do tej zmiany, ale po większej części wychodziła ona z wewnątrz. Przykrem, niewysłowionem uczuciem przejął mię ten widok. Krzesło tak przytykało do samego krzyża, że stojący w tej chwili Machnicki wydawał się, jakby spoczywał na krzyżu. Był to widok zarazem dziko-malowniczy i pełny jakiejś bolesnej tajemniczości, zwłaszcza kiedy dodamy strój osoby i czarne tło całego obrazu.

Dał znak ręką, abym się zbliżył i przemówił głosem zrazu uroczystym, ale widocznie przytłumionym który w końcu zamienił się w ton szyderczy:

— Otóż nakoniec widzisz Króla Zamczyska! Widzisz go w całym przepychu królewskiego majestatu, w całej nagości.

— Oto jest papura, to korona, a tu berło! Patrz! azaliż nie królewskie? Patrz więc i smiej się!—

To mówiąc, zaśmiał się śmiechem tak dzikim, jak tylko być może najbardziej wymuszony z bolejącej piersi, rzucił się na krzesło całym ciężarem ciała, kręcił się po niem jakiś czas, porwał miotełkę, zgrzytnął, uderzył się nią po wieńcu, jęknął głęboko, ale w tejże chwili zaczął się uspokajać, jak żeby przychodził do upamiętania, i utkwił we mnie wzrok, więcej zdziwiony jak obłąkany, widocznie spokojniejszy.

— Jak to? ty się nie śmiejesz? - mówił znowu powoli, powtórzył to samo i ucichł — a toż przecie purpura królewska, ten serdak trefnisia; a ta korona? któżby w niej poznał koronę Chrobrych? Co zą hańba? co za hańba! — zasłonił oczy ręką, z pod ręki wytoczyło się kilka łez. Odsłonił oczy a na twarzy nic już nie było oprócz głębokiego rozrzewnienia.

— Ale nic moja w tem wina, nie moja. Sam się przekonasz, kiedy ci opowiem. Dlatego wprowadziłem cię tutaj i wszystko odkryłem. Przyrzekłem ci posłuchanie królewskie; chcę spełnić moje przyrzeczenie. Siadaj i słuchaj.

Usiadłem na kamieniu zewnątrz otworu framugi, a Machnicki od tych słów zaczął swoją powieść:

— Podniosłem ci niejedną zasłonę moich tajemnic, muszę powiedzieć ostatnie ich słowo. Leży w niem cała historya mojego życia. Wyspowiadam się przed tobą, jak dotąd przed nikim, jak zapewne przed nikim już spowiadać się nie będę. A robię to nie z samej potrzeby mojego serca, ale dla korzyści mojego państwa, dla dobra czyjegoś, choć on dotąd niegodny; zresztą, Bóg z nim; nie mnie dano sądzić go ostatecznie. Słuchaj więc mojej powieści. Będzie ona długa może nieporządna, jednak nie przerywaj. Nie przerywaj mi, choćbym według ciebie najnieznośniej bredził. Nie ostrzegaj mię. Mam ja w głowie ciąg myśli mnie właściwy; tego pasma nigdy się nie puszczę. Zresztą jest coś, co mnie ostrzeże, i dotknął ręką swojego kołpaka.

Przestawszy w tem miejscu, zamyślił się, spuścił czoło, zaczął być niespokojnym; widocznie szukał myśli; nareszcie poprawił się w krześle i mówił:

— O! ten początek zawsze mi najcięższy. Najtrudniej mi przenieść się w tę powszednią przeszłość; schwycić koniec jej nitki najtrudniej. Jest ona dla mnie jak sen coraz niewyraźniejszy; ale mam ją wreszcie.

— Trzeba ci wiedzieć, że i ja byłem kiedyś człowiekiem, jak wszyscy ludzie: mężem, ojcem, sąsiadem, szlachcicem, urzędnikiem, dobrym nawet urzędnikiem; po całych dniach, a czasem i nocach siedziałem nad rachunkami. Ja myślę, że to był sen tylko; dzisiaj nie potrafiłbym najprostszego dodania. Ale wtedy! o! wtedy nie wołano, jak dzisiaj, gdzie się obrócę: waryat! waryat! nie patrzano z litością, z szyderskim uśmiechem, jak na waryata, jak dzisiaj. Miałem rozum, bo byłem waryatem, jak wszyscy ludzie, nie mniej nie więcej; nie odróżniałem się od nich, uchodziłem więc za porządnie rozumnego. Wszakże powinienem oddać sobie tę sprawiedliwość, że wiecznie nosiłem w sobie zaród mojej wielkości i przeczuwałem ją i dążyłem ku niej, chociaż bardzo powoli z początku. Jakiś pociąg osobliwy, niepojęty mi dawniej, przywiązywał [1]) mię do tych murów od

[1]) wyd. 1842: przywięzywał.

niepamiętnych czasów. Było to coś nakształt przeczucia miłości, a potem... pierwszego jej objawienia się, a potem zwaryowania z miłości. —

Wymawiał to powoli z namyśleniem się na ostatku zadrżał, dzwonki zagrały, a on mówił dalej:

— Nasamprzód z daleka lubiłem patrzeć na zamek. Nie wyglądał on tak dziko jak teraz; stał prawie cały zamieszkany. Wieczorami błyszczały światła z jego okien, we dnie dymy snuły się z kominów, bramy odmykały się i zamykały; szczekały psy, piały koguty; śpiewano, śmiano się, żył pełnem życiem obecności, a dla mnie... żył nadto życiem przeszłem. Miałem już wówczas widzenia przeszłości, ale jeszcze ciemne; wystarczało mi z daleka patrzeć na zamek. Tęskniłem jednak jak do największego szczęścia, żeby w nim mieszkać—i było coś, co mi ciągle szeptało: będziesz w nim mieszkał.

— Zdarzyło się że musiałem porzucić na jakiś czas te strony. To oddalenie dopiero przekonało mię, że byłem zakochany w zamku. Tęskniłem za nim, jak za kochanką. Có noc we śnie go widziałem, niekiedy za całym urokiem kobiecej piękności. Czy ty uwierzysz temu? —

I zamilkł z widoczną chęcią, abym odpowiedział

— Dlaczegoż nie miałbym uwierzyć? — rzekłem. Jakaż inna miłość, jeżeli nie podobna do tej, prowadzi tysiące na śmierć, dla ojczyzny naprzykład? odbiera spokojność, wesołość, rozum, życie? Tylko, że na pozór jej przedmioty różne. Jeden ukochał swoje góry, drugi swoje wody, ten pałac, tamten chatkę; ale biorąc rzeczy głębiej, każdy z nich ukochał anioła, ducha swojego narodu, który mu się przedstawia zmysłowo, niby w symbolu określonym, najstosowniejszym do jego usposobień i pojęć. —

W miarę, jak mówiłem, Machnicki wyciągał rękę i przytwierdzał skinieniami, a kiedym skończył, uderzył w stół i zawołał:

— Mówisz zupełnie tak, jak ja czuję. Ale niestety! zawołał po krótkim przestanku, dlaczegóż tylu jest, którzy nie czują tego ducha pod powłoką symbolu, i przywiązują się tylko ciałem do ciała. Kochają swój dom, bo ładnie zbudowany, dobrze opatrzony, wygodny, własny;

kochają swoją wioskę, bo z jej dochodów mogą dobrze jeść, pięknie się ubierać, wesołe życie prowadzić robić w niej, co się podoba, i — miękko zasypiać; kochają swój kraj, bo kraj jest dla nich to samo, co wioska.

— Nie taką miłością pokochałem ja zamek, Bóg mi świadkiem, nie taką; bo i cóż miałem z niego, lub mieć mogę dla ciała? Pokochałem go że w nim było tyle życia, tyle szczęścia dla wszystkich, a ludzie nazwali to obłąkaniem. —

Wzruszył się, dzwonki zadrgały, to go uspokoiło, wrócił do powieści.

— Tęskniłem więc i coraz mocniej. Nie mogłem przemódz owej tęsknoty, zwłaszcza, że przybył jej w pomoc niepokój smutnego przeczucia. Urwałem liche interesa i wróciłem. Niedarmo tęskniłem, niefałszywie przeczuwałem.

— Zamek opustoszał, począł nawet upadać w niektórych częściach. Smutne, okropne wrażenie zrobił na mnie ten widok. Ale też odtąd jeszcze mocniej zacząłem przywiązywać się do mojego zamku; zacząłem wchodzić z nim w znajomość jeszcze bliższą. Dusza coraz wyraźniej ku niemu lgnęła; przeznaczenie ciągnęło mnie ku niemu coraz częściej. Po całych dniach przypatrywałem się jemu, całe nieraz noce w nim przepędzałem i nie miałem już ze strony ludzi żadnych przeszkód. W końcu zaznajomiłem się z najkrytszym zakątkiem. A kiedy nie mogłem być w nim albo nań patrzeć, to miałem obraz jego w głowie, jak wyciśniony na mózgu. Z porządku rzeczy reszta świata poczęła mię coraz bardziej nudzić. Nie znajdowałem już rozrywki, tylko w książkach, a między książkami jedynie w starych kronikach. Czytanie kronik robiło na mnie skutek, jaki robi na zakochanym czytanie romansów. Każdy szczegół dziejów, każda chwała, każda klęska, zmierzały do mojego zamku, jak promienie do jednego ogniska. Cokolwiek było pięknego w przeszłości, to go ozdobiło; co było okropnego, to zawisło jak zasłona żałoby na jego wdziękach.

— Tym sposobem zamknąłem w nim całą przeszłość, całą przyszłość w nim uosobiłem. Ale miałem

jeszcze rozum. Przynajmniej ludzie uważali mnie jeszcze za zrozumnego. Nie widzieli mojej duszy; wstydziłem się ją odkryć. Czy uwierzyłbyś temu, że się wstydziłem mojego stanu duszy? Do tego stopnia byłem kiedyś powszedni, słaby, głupi. Co gorszą, wyrzucałem sobie nieraz to uczucie, walczyłem z niem, chciałem je zniszczyć. Na szczęście moje, postanowienie to zapóźno mię napadło. Jednak wdzięczny mu jestem, ono przyspieszyło chwilę stanowczą. Opowiem ci teraz ten wypadek, najważniejszy w mojem życiu, ten tryumf mojej królewskiej przyrody.

— Opanowała mię właśnie jedna z chwil owego wahania się z głupiego postanowienia. Poszedłem za jej popędem i zabrałem się szczerze do moich urzędowych rachunków. Nie wiem, skąd wydobyłem z siebie tyle siły; nie wiem, jakim sposobem znalazły się jeszcze myśli niepodbite od mojej miłości, że na czas jakiś ustąpiła im zupełnie i zostawiła liczbom wolne pole. Interes urzędowy był pilny, praca trudna i długa. Przejąłem się całą ważnością mojego urzędu. Trzy dni i trzy nocy pracowałem, z małemi przerwami dla jedzenia i snu. Przez cały ten czas liczbami tylko myślałem, tak że w końcu wszystkie myśli zamieniły się w liczby; liczby układały mię do snu i budziły, na jawie jak we śnie liczby latały przed oczyma, w którąkolwiek stronę oczy obróciłem. Nic nie słyszałem, nic nie widziałem dokoła siebie, oprócz przedmiotu mojego zatrudnienia. Aż w końcu... pamiętam całą scenę, jakby się powtarzała w tej chwili, odtąd wszystko już dobrze pamiętam. Było to trzeciej nocy, bardzo późno, może w godzinę po północy. W okna bił deszcz ze śniegiem i wiatr przeraźliwie zawodził. Zresztą wewnątrz domu cicho, jak żeby wszystko umarło. Czułem wycieńczenie z pracy; zdawało się, że siły ostatnie mię opuszczają. Nie przestawałem jednak pisać, ale głoski i liczby wiły się po papierze, zrywały się z pod pióra, krążyły w oczach jak rój owadów; wiersze całe snuły się w różnych kierunkach jak te wstążki ognia, kiedy dziecię rozżarzonem łuczywem w rożne strony macha. Straciłem z oczu świecę, zgadywałem tylko jej pałanie po nagłych, przykrych zmianach to rażącego blasku w ciemności to ciemności w blasku.

Naraz całe pisanie zerwało się z papieru, uderzyło na mnie z szumem i wściekłością pszczół rozdrażnionych, obsypało mię całego, wgryzało się w oczy, dzwoniło w uszach; osiadało na mózgu. Chciałem się porwać, upadłem nazad na krzesło bez siły; w tej chwili zupełna ciemność zaległa pokój; powieki spadły na oczy same z siebie, jak skrzydła postrzelonego na śmierć ptaka.

— Byłoż to tylko omdlenie? Wątpię. Utraciłem siły, ale nie przytomność. Widziałem, co się dzieje, gdzie jestem. Czułem dokoła siebie i przeraźliwą ciemność i martwą ciszę uśpionego domu; deszcz ze śniegem bił w okna, wiatr przeraźliwie zawodził. Mimo to rozpływałem się duszą w niewymownie lubym stanie jakiejś spokojności, swobody, uciechy, o których dotąd nie miałem wyobrażenia. Cóżby to było? jak sądzisz? —

— Właśnie powiadają — odezwałem się — że zwykle podobne uczucie towarzyszy omdleniu z powolnego osłabienia. —

— Ale czy omdlenie może zostawić tak wyraźną pamięć przeszłości i wiedzę obecnego stanu tak zupełną? Czy można w omdleniu śnić tak jasno, żyć tak zwyczajnem życiem? —

Odpowiedziałem, że tego rozwiązać nie potrafię.

— I niema potrzeby, jak dla mnie, łamać sobie nad tem głowę — mówił znowu Machnicki, gdyż jestem pewny że ów stan był czemś ważniejszem, jak zwyczajną słabością, jak omdleniem. Wiesz o tem, że wtedy zgasł i umarł we mnie dawny człowiek, a narodził się nowy. Ciekawa to była chwila, kiedym przechodził granicę dwóch czasów, dwóch bytów. Jak na dłoni ujrzałem całą moją przeszłość, objąłem ją jednem spojrzeniem, a całą przyszłość w jednej tylko postaci, w postaci zamku, ale jakiego zamku!. .

Zatrzymał się znowu, jak żeby się zamyślał.

— Nie! — rzekł — gdyby mi nawet wolno było odsłonić komukolwiek ten obraz, nie znalazłbym na to wyrazów w dzisiejszym naszym języku. Dosyć powiedzieć, że kiedy ujrzałem obok niego życie moje przeszłe, wszystkie jego prace, troski, żądania, nadzieje, plany, zaśmiałem się nad niem, jak nad niewinnem głupstwem, z całego serca. Ten śmiech rozległ się w mgnieniu oka tak

dokoła, z taką siłą, jak żeby cały świat sobą zapełnił, jąk żeby mi odpowiedział śmiech całego świata.

— Ale nie była to radość. W tym śmiechu zączęłą się znowu moja przyszłość, moja wielkość, moja męczarnia. Bo różne są rodzaje cierpienia dla ludzi. Ten z zą krat więzienia musi patrzeć na niebo, wiecznie tosamo dla złych i dobrych; tamten, przykuty do taczki podziemnej roboty, dźwiga dzień i noc trupa myśli, której swoje życie poświęci; temu tortury łamią kości, nie mogąc złamać ducha; temu każą z krzyża obejmować rękami ten świat, który sercem ogarnął; temu przeznaczono każdy śmiech nieprawości bolesną łzą odkupywać; ale są inni, których postawiono światu na cel, aby szyderski uśmiech przeszył w nich każdą myśl kochającą, każde uniesienie poświęcenia, i nadto kazano im samym śmiać się z tego, co właśnie bole śmierci przynosi. Cierpieć dla wszystkich i konać śród śmiechu wszystkich, a często własnego, to nie lżejsze od innych tortur.—

Dreszcz mimowolny całego ciała przerwał w tem miejscu Machnickiemu, ale zdaje się, że głos poruszonych dzwonków przywołał go do porządku, bo znowu natychmast zaczął:

— Otóż, zaledwiem się zaśmiał, kiedy usłyszałem dokoła siebie niby jego echo i dźwięk, jak żeby wiatr gwałtowny zastrząsł oknem. Otworzyłem oczy, zwróciłem się ku oknu i ujrzałem w niem wielką światłość, niby od pożaru, a w tej światłości postać ubraną, jąk nam opisują ubiór dawnych trefnisiów, jak zresztą mnie dzisiaj widzisz, z małemi odmianami. Pojąłem wtedy, skąd pochodził śmiech i dźwięk. Nie skończyłem jeszcze tej uwagi w duchu, kiedy postać dmuchnęła ku mnie po dłoni i znikła.

— Okno zamknęło się z nowym dźwiękiem, kiedy niekiedy zagwizdało wiatrem, jąk coraz dalszym chychotem, a blask, co bił przez nie, w tejże chwili zagasł całkiem. I wszystko znowu jak było wprzódy. W całym domu cichość, po ścianach pluska deszcz ze śniegiem i świeca znów gore. Rzuciłem okiem na stół, widzę, na papierach czerwieni się jakiś listek; biorę go, zapisany; czytam, bilecik:

— Panie Machnicki! Zamek w niebezpieczeństwie.

W tobie jednym jego nadzieja. Przybywaj, jak możesz najprędzej. Czeka cię królestwo. Tylko spiesz się. Twój sługa i przyjaciel, Stańczyk. —

— Ten list chowam dotychczas jako najdroższą pamiątkę nowego mojego życia. Jest to niejakie dyploma mojej królewskości. Powinieneś go widzieć. —

To mówiąc, odemknął wiszący na piersiach medalion. kazał się zbliżyć i podał mi z uszanowaniem nic innego, tylko uwiędły czerwony listek, stoczony w połowie przez owady. W pozostałych nitkach włokien można było wprawdzie dostrzedz jakichś fantastycznych znaków, ale nie było żadnego podobieństwa do pisma. Czuł to zapewne sam Machnicki, gdyż się odezwał:

— Pisanie to nie dla wszystkich. Trzeba być wtajemniczonym w moje państwo, żeby je odczytać; niemniej przeto pojętne dla mnie i drogie. —

Oświadczyłem zupełną wiarę w to. co mówi, oddałem listek napowrót, a on schowawszy go, tak dalej prowadził swoją powieść:

— Treść listu przeraziła mię niewymownie. Pewny byłem, że w zamku pożar; wprowadziłą mię na tę myśl niezwykła jasność, którą przed chwilą widziałem. Nie rozmyślałem długo, nie wahałem się, wyskoczyłem przez okno, wpół rozebrany, jak byłem, i biegłem do zamku pomimo ciemności i słoty. Przybywam nakoniec, nie widzę żadnej zmiany, żadnego niebezpieczeństwa. Miałżeby to być figiel trefnisia? Chciałem się gniewać, chciałem zrazu natychmiast powrócić, ale bieg nadzwyczaj szybki wyczerpał ze mnie wszystkie siły. Nie mogłem dłużej ustać, mimowolnie padłem. W tej chwili zdało mi się, żem ujrzał Stańczyka, skaczącego wierzchem murów, ze śmiechem dyabelskim. To zgniewało mię po reszty. Postanowiłem zrobić figiel za figiel i nie ruszyć z miejsca, choćby mi tam przyszło umrzeć z głodu. I dotrzymałem. Dwa dni z zamku nie wychodziłem, dwa dni żadnego nie wziąłem posiłku. Osłabłem na śmierć. Na drugą noc zawlokłem się do baszty i tam postanowiłem przyjąć, cokolwiek mię spotka. Snu nie miałem, gorączka coraz większa ciągle mię rozbudzała; marzyłem [1] tylko i dlatego widziałem wszystko, co się koło mnie działo. Wi-

[1]) wyd. 1842: mrzyłem.

dzieć nie mogłem już to dla ścian, już dla nocnych ciemności, słuchem jednak byłem ciągle śród dziwów owego czasu. Niewyraźnie prawda i może nie wszystko słyszałem, bo nieustające burze, wiatry, szum, ulewy, szalały, jakby umyślnem zaklęciem wywołane; ale to, co słyszałem, mogłoby rozsadzić każde ucho. Jakieś gwary, krzyki, jęki, jakiś ruch i krzątanie się całych tłumów, to znowu tentent pojedyńczych kroków, to na ziemi, to gdzieś pod ziemią; ale tego wypowiedzieć niepodobna, a jeszcze może niepodobniej w to uwierzyć. Mnie samemu zdawało się czasem, że w tem wszystkiem niema nic oprócz gwaru drzew, igraszki wiatrów, jednem słowem zjawisk powietrza, miotanego zwyczajną burzą; później dopiero przekonałem się, że to była rzeczywistość, której wtedy nie miałem jeszcze wyobrażenia. Tylko też pamięć na słowa listu pomogła mi przetrwać ów stan nieznośny. Wiły się one ciągle pomiędzy wszystkiemi myślami, a w miarę tego, jak wracały uporniej, zamieniły się w wiarę i w końcu zostały jedną myślą wyraźną, skupioną, potężną, która już wtedy zaczęła pokrzepiać moje siły moralne i podnosić ducha nad ciało. Obojętnie począłem na śmierć patrzeć; byłbym już umarł z myślą królewską.

— Tak nadeszła chwila, która ostatecznie miała rozjaśnić, co dotąd było jakby niewyraźnem przeczuciem. Spałem, czy nie spałem, tego dobrze nie wiem, kiedy mię coś gwałtownie zą rękę targnęło. Otworzyłem oczy i ujrzałem przed sobą tę samą postać, którą w oknie widziałem, jednem słowem, Stańczyka. Trzymał w ręku latarnię, mocno był pomieszany, łzy nawet miał w oczach. — Wstawaj — zawołał — i chodź czemprędzej. Nie mamy chwili do stracenia. Czeka cię posłuchanie królewskie. Za chwilę zostaniesz królem. — Wstawaj! —

— Na te słowa uczułem w sobie znowu dawne siły. Porwałem się równemi nogami; przebiegliśmy szybko dziedziniec zamkowy, kilka pokojów, i stanęliśmy w głównej zamkowej sali. Leży ona dziś w gruzach oddawna. Później przy spokojności pokażę ci miejsce po niej. W sali uderzył mię widok nieznany, niesłychany. Wyobraź sobie zebranych w jeden tłum wszystkich na-

szych monarchów, począwszy od nieznajomego nawet dziejom z żonami, z dziećmi, z całemi rodzinami, w koronach, w purpurach monarszych, w całym przepychu mocarzy namaszczonych najwyższą władzą, w promiennym blasku tylu imion wiecznych, w czarodziejskim uroku piękności tylu królowych. Martwe malowidło podobnego zgromadzenia jużby ci wyrzuciło duszę z kolei zwyczajnego stanu, a dopieroż widzieć to wszystko żywe. Nie dziw, że można zwaryować po takiem widzeniu, nie żal zwaryować, żeby mieć takie widzenie. Sam to przyznasz.

— Wszakże mimo olśnienia od podobnego widoku przelotny rzut oka wprawił mie w niespokojnie podziwienie w stan żalu, pomieszanego z przerażeniem. Wszystko tam było w niezwyczajnym ruchu; na niektórych twarzach widziałeś rozpacz; stąd odzywały się męską piersią przekleństwa, tu słyszałeś łkania kobiet; inne modliły się, klęcząc i łamiąc ręce w milczeniu. Wyobraź sobie dom w pożarze, a mieszkańcy ratują, co mogą, i uciekają; albo jeszcze lepiej dom, napadniony przez zbójców. Tak tam było w owej chwili. Jeden tylko mąż zdawał się panować całemu temu nieładowi. Siedział on w głębi sali, na wielkim głazie, z ponurą, ale męską rezygnacyą. — Uzbrojony był dawnym rycerskim obyczajem od stóp do głów. Przy nogach leżał szyszak, otoczony koroną, na wielkiej szabli, a obok miotełka brzozowa. Białe miał włosy, jak puch białego gołębia, a twarz... podobną widywałem na obrazach Bolesława Chrobrego.

— Ku niemu szliśmy prosto. Ukląkłem mimowolnie przy jego kolanach; z uprzejmym wyrazem położył mi rękę na ramieniu i, pamiętam jak dzisiaj, w te mówił słowa: —

— Wezwaliśmy cię, synu, w ważnej sprawie. Za chwilę porzucimy ten zamek, aby odtąd z innego już świata czuwać nad nim. Cóż robić? Jednak nie rozpaczamy; pozwolono nam zostawić następcę takiego, jakim tylko ty być możesz. I ty nim będziesz, bo naszej miłości wszystko poświęciłeś, nawet swój rozum. Odtąd jesteś królem tego zamczyska.

— Zalałem się łzami uniesienia, chciałem ucało-

wać nogi mówiącego; ale on kazał mi się podnieść i czekać skończenia obrządku koronacyi. Tymczasem wymówił imię, którego ci nie powtórzę, bo jest pod klątwą wiecznego milczenia w mojem państwie; a na to wezwanie wystąpił jeden z tłumu królewskiego, podobny strojem do Stańczyka, i zbliżył się w głębokim ukorzeniu; na powtórny znak króla-rycerza zdjął z siebie cały ubiór i złożył go na ziemi. Król-Patryarcha zarzucił mi na ramiona serdak, na głowę włożył czapkę i mówił:

— Oto jest królewski twój ubiór. Masz go w spuściznie po najbliższym swoim poprzedniku. Z tą szatą wkładam na ciebie wszystkie cierpienia, hańby; zamień ją w purpurę chwały. W twoje serce zamykam całą boleść tej chwili; czoło namaszczam łzami, które dokoła widzisz; ręce uzbrajam tą miotełką mojej łaźni, będzie ona dla ciebie berłem i mieczem; a skronie twoje — mówił, zrywając gałąź rosnącej przy sobie dzikiej róży, — opasuję tym wieńcem jak koroną, ażeby kolce jego nie dozwalały ci zasypiać na tronie. Twojem państwem te gruzy; twoją potęgą wielkość ich przeszłości, zamieniona w boleść; twoje powołanie panować przez cierpienie śród uciechy. Tym tylko sposobem dopełnisz królewskich powinności i zdasz swoje dziedzictwo godnemu następcy. —

Chciałem jeszcze mówić, kiedy nagle odezwała się przeraźliwa trąba przed zamkiem; mnie się zdawało, że pastusza, ale się omyliłem, bo na jej odgłos zachmurzył się król-rycerz i zawołał:

— A więc i goniec z ostatnią wiadomością. Wszystko już skończone. Dzieci, w drogę!

Do mnie zaś tyle jeszcze powiedział:

— Stańczyk wprowadzi cię na królestwo i jest na twoje rozkazy. Żegnaj nam, Królu zamczyska, i panuj jak ci zaleciłem.

— Ledwie mogłem dosłyszeć słów ostatnich, takie narzekania podniosły się w odchodzącym orszaku. Za chwilę straciłem wszystkich z oczu. Wybiegłem w ich ślady za obręb zamku! Jakiś czas zdawało mi się, że ich widzę, że słyszę bolesne ich pożegnania. Może i tak było, ale wkrótce w miejscu się pozostały tylko skały

martwe, drzewa chwiejące się silnym wiatrem i różnogłosy szum wichru. Okropna noc! mało pamiętam podobnych, a żadnej takiej.

— Cały świat zajęty był rozprawami; nic dziwnego, że tej nocy nie uważał, a ja tymczasem królem zostałem i doświadczyłem pierwszej boleści: część zamku upadła. Upadła wtedy właśnie, kiedy wybiegłem za nimi. Rozpoznałem jeszcze w skałach i drzewach oddalający się orszak, kiedy nagle zatrzęsła się ziemia, w głowie zadzwonił grzmot przeraźliwy, jak żeby piorun w uchu uderzył, a całe powietrze zabielało obłokiem pyłu tak gęstym, że ledwie mogłem oddychać.

— Długo nie mogłem kroku jednego naprzód postawić. Skoro wiatr przepędził cokolwiek kurzawę, wbiegłem wewnątrz zamku; kilka pokojów zniknęło pod gruzami. Zapłakałem, ale nie byłem winien. Tylko co zacząłem panować. Od tego to czasu jestem królem. Sam teraz osądź czy mam do tego prawo, czy jestem przywłaścicielem, królem z przywidzenia, waryatem.

— Pierwszemu tobie tak się spowiadam. Z innymi ludźmi nie wdaję się w podobne rozmowy. Nigdyby mię nie pojęli. Patrzą na ten zamek, a nie widzą, co on jest; widzą, jak coraz bardziej upada, a nie wiedzą, co to znaczy; zginie zupełnie, a dla nich będzie to wszystko jedno. Ani głowy, ani serca u nich. Cóż robić z takimi ludzmi? Niekiedy dam im uczuć chłostę mojej miotełki; a oni biorą to za fantazyę waryata. Do tego stopnia stracili sumienie, że nie czują nawet wstydu; śmieją się z własnej hańby, z własnej obelgi najkrwawszej, jaką człowiekowi wyrządzić można. Powiedzą tylko Machnicki to złośliwy waryat! i na tem kończą. Bywa, że nie mogę się wstrzymać i wołam w żywe oczy: gdybyście wy mieli więcej czucia i pojęcia, Machnicki nie byłby dla was waryatem, oddalibyście swój rozum za jego obłąkanie. Ale te wszystkie przemówki to groch na ścianę. Niepodobna też wykładać wszystko jak na łopacie. Zresztą możeż być wyraźniejsze słowo jak te gruzy?—Jeżeli one nie mają dla nich znaczenia, czegoż mają się spodziewać po brzęku słów moich?

— Poddałem się więc wyrokom i sam cały ciężar dźwigam. Sam, własną tylko myślą, podpieram te gruzy,

jak mogę. Ale są chwile, w których czuję, że upadnę wraz z nimi. One się powiększają z każdym rokiem, a myśl moja coraz słabsza, coraz bardziej ugina się pod ich ogromem. Każdy kamień pada na nią i robi w niej szczerbę. Coraz mocniej cierpię, a coraz mniej jestem w stanie zaradzić złemu. Takie jest moje panowanie, taka moja królewskość! —

Posępnie zwiesił głowę i milczał, nagle wstrząsnął dzwonkami, popatrzał wokoło, jakby przychodził do siebie po śnie przykrym, twarz jego wygładziła się uroczystą powagą, w oczach osiadła duma władzy, wyciągnął prawą rękę jak do rozkazywania:

— Nie — zawołał — nie upadnę ja tak łatwo. Jestem jeszcze królem. Cierpię wprawdzie, jak żaden król nie cierpiał; ale też używam, jak żaden król nie używał; wzniosłem się do najwyżej ludzkiej potęgi. Wszedłem w świat duchów, żyję z duchami, rozkazuję duchom. Dla mnie cała przeszłość jak obecna chwila. Przestrzeń tysiąca mil ogarniam jednem spojrzeniem. Dla mnie niema nic martwego w obrębie mojego królestwa. Położę rękę na głazie i czuję pod ręką bijące serca, drganie życia poczynającego się w łonie kobiety. Dotknę się ustami listka? listek oddaje mi ogniste pocałowanie miłości; gałąź ściska mię, jak dziecię, gdy je matka pieści. Kiedy przechodzę między różami, róże uśmiechają się jak dziewice i rzucają mi swoje kwiaty pod nogi; murawa, jak tłum ludu, uchyla głowy na mój widok. Każde źródło zaprasza mię do siebie i rozprawia mi o przeszłości nieskończone dzieje. Przed muzyką moich ptaków, które mię usypiają i budzą, niech milczą wszystkie muzyki, jakie są na świecie. Pojrzyj na te czaski, kości, szkielety, zbroje, głazy; to mój dwór żywy, wszystko to żywe.

— Kiedy strudzony kłopotami państwa wchodzę tu na wytchnienie, wszystko to ożywa, garnie się do mnie. Zasiadamy wkoło stare, kamienie dają mi rady, rycerze gotują broń do przyszłych bitw, orzeł mierzy oczami drogę do słońca: mam przed sobą całe życie przeszłości i widzę na jej kolanach przyszłość, a dla niej zapominam o obecnej chwili, o obecnym świecie.

— Jestem król nad króle. Moje ziarnko rozrośnie

kiedyś na świat cały. Dlatego tak głęboko skryłem się z niem pod ziemię. O! gdybyś ty wiedział wszystkie tajemnice tego pałacu. —

Korzystałem z kilku chwil milczenia, które po tych słowach nastąpiło i rzekłem:

— Tajemnice te nie są zapewne dla podobnych mnie; ale sądzę, że mi wolno wiedzieć co to jest ta jaskinia, i jakim sposobem przyszedłeś pan do jej odkrycia?

— Dziwne rzeczy! wszak prawda, że dziwne? — zawołał Machnicki:—Mogę jednakże dać jeszcze jeden dowód mojej dla ciebie uprzejmości i uchylić po części zasłonę tych jeszcze tajemnic. Słuchaj więc jak się to stało.—

VI. Dalszy ciąg historyi Machnickiego.

Nim przystąpimy do dalszego ciągu powieści Machnickiego, muszę tu zamieścić uwagę potrzebną, ażeby czytelnik lepiej zchwycił charakter jego obłąkania i nie kładł na mój karb wszystkiego, co go może razić w tem opowiadaniu. Dwa stany objawiły się w nim, ile razy mówił, zwłaszcza cokolwiek przydłużej. Czasem odbiegał głównej osnowy, jąkał się, mieszał wyobrażenia, łapał wyrazy niewłaściwie, wpadał w powszedność prozaiczną; było to wtedy, kiedy satyryczna wycieczka do obecnych czasów i ludzi sprowadziła go z toru ulubionych marzeń; gorzki smutek wówczas zwijał niejako skrzydła jego fantazyi, zaciemniał jej gwiazdę. Lecz kiedy gnał pełnymi żeglami po zwyczajnym sobie poetycznym świecie, kiedy nie spotykał na drodze żadnego żywiołu, przeciwnego jemu, dusza jego wówczas była muzycznem narzędziem, doskonale wystrojonem, myśl jedną pieśnią, a słowo, z boku rzucone, rozpoczynało tę muzykę z innego tonu, nie psuło harmonii ogółu.

W tem drugiem usposobieniu właśnie się teraz znajdował; Odpowiedział więc na moje zapytanie, jak żeby odpowiedź jego była koniecznym ciągiem tego, co dotąd mówił, jak żeby nie słyszał nawet mojego zapytania.

— Byłem — rzekł — zupełnie szczęśliwy. Wprowadzony przez Stańczyka na królestwo postawiony przez

niego u steru spraw państwa, puściłem je w ruch dalszy. Ale sprawy te potrzebowały mojej wszechobecności; osiadłem więc na zamczysku, a stolicę założyłem w dwóch nietkniętych jeszcze od zniszczenia komnatach. Urządziłem je po królewsku. Zawiesiłem całe ściany ozdobami moich marzeń, obrazami dziejów, proroczemi zasłonami. Powietrze ich dyszało tylko życiem mojego świata. Kilkanaście lat, które w nich spędziłem były jedną królewską ucztą. Myślałem, że tąm skończę, pragnąłem skończyć. Stamtąd tak blizko było mi do raju: jeden krok tylko, a byłbym w raju.

— Inaczej się stało. Ostrzegło mię o tem jakieś przeczucie. Dziwne sny, niepojęte widzenia, znaki na ziemi i na niebie, prześladowały mię od jakiegoś czasu bez ustanku, zapowiadały jakąś nadzwyczajną, stanowczą zmianę w mojem życiu. Często śród burzy, olbrzymia głowa jak chmura kładła się nad zamkiem i lizała gruzy ognistym językiem jak błyskawicą; niekiedy wicher wrzucił we środek poczwarną sowę i plątał jej skrzydła w mury; trzeba było widzieć, jak się po nich tłukła, aż cały zamek się wstrząsał, dopóki się nie wydobyła; trzeba było słyszeć jej wycie. W czasie piorunów dziwne jakieś jaszczurki, dłuższe od połozów snuły się wzdłuż murów, a przez ich skórę przeźroczystą ogień przezierał, jak żeby całe ogniem były napełnione. Codzień zjawiały się nowe jakieś gady potwory. Słyszałeś zapewne, że w pewnych śmiertelnych chorobach ciało ludzkie już na kilka dni przed śmiercią zaczyna się rozkładać w obrzydliwie robactwo. Powiedziałbyś, że zamek był w podobnej chorobie. Przeczuwałem, bolałem, nie opuszczałem go jednak. Wtym stanie doczekałem się września. Nie dawno to było kilka lat temu. Mijały już pierwsze dni jego. Dusza była coraz niespokojniejsza, zjawiska coraz groźniejsze. Ze świtem dnia jednego powstała niewidziana, niesłychana burza. Dwa dni trwała. Nie wychodziłem z zamku na chwilę. Żyłem w nim jak zwyczajnie; jak zwyczajnie układłem się do snu za nadejściem drugiej nocy. Ledwo usnąłem, posłyszałem dziwne, przeraźliwe głosy i wołanie: uciekaj! uciekaj! Obudziłem się i postrzegłem Stańczyka. Szarpał mię za rękę i wołał: chodź! chodź ze mną. Nie możesz tu dłużej zostać! —

Dlaczego? — zapytałem. — Za chwilę gruzy spać tu będą. —

Ścisnęło mi serce, ale zawołałem:

— Nie! nie pójdę. To moje królestwo, ja jego król! zginę z niem razem. —

Na to Stańczyk odparł:

— Ocal się, a ocalisz królestwo. Twoje państwo większe jak myslisz. Chodź tylko za mną. —

I wyciągnął mię półgwałtem. Zaledwośmv wyszli, a moja stolica runęła, w moich oczach spuścił się na jej dach ptak olbrzymi, ognistym jak piorun wężykiem, widziałem to wyraźnie; słyszałem szum, z jakim usiadł; przygniótł ją swoim ciężarem, okrył się obłokiem kurzawy ze startych gruzów i razem z nią zniknął.

— Załamałem ręce, a Stańczyk zaśmiał się. Miałem już wybuchnąć najwścieklejszym gniewem. —

— No, no, uspokój się, — rzekł do mnie z najzimniejszą krwią. — Aby dusza była, znajdzie się ciało. I czegoż tu rozpaczać? Widok wprawdzie bolesny, ale nie powód do rozpaczy. Wicher złamał tylko spróchniałą gałąź: pień drzewa nietknięty i żyje. Wszystkich gałązek nie ocalisz, samego nawet drzewa, o ile jest nad ziemią, nie zabezpieczysz przeciw zepsuciu, ale pilnuj korzenia, tam życie. Dlatego wprowadzę cię w inne mieszkanie; zamknę myśl twoją w nowe formy, bezpieczniejsze i właściwsze. Więcej zyskasz, jak straciłeś. — Chodź za mną. —

— I wskazał mi to podziemie. Z czasem przekonałem się, że słusznie mówił. Jestem znowu królem, ale większym, potężniejszym, jak kiedykolwiek byłem. Prawdziwe to ziarno mojego państwa. Gdziekolwiek znajdę okruszynę, podnoszę ją troskliwie i składam tutaj; tym sposobem powoli zebrałem i skupiłem całe jego życie.

— W końcu przyzwyczaiłem wszystkich poddanych do nowej stolicy. Żyję pod ziemią takim królem, jak żyłem na ziemi. Sam prawie własną pracą ubrałem to miejsce, jak widzisz. Zyskałem i to jeszcze, żem bezpieczny od ciekawych ludzi. Ten odsłoniony bok jaskini tak wysoko wznosi się nad dolinę i tak jest niedostępny, że z tej strony ptaszemi tylko skrzydłami możnaby dolecieć do mnie. Te okna wyglądają na zewnątrz, jak

nora sowy; nikomu na myśl nie przyjdzie, żeby mogło przez nie wyglądać ludzkie oko. Mam źródło niewyczerpane, mam zapas jedzenia dostateczny, podziemnymi przechodami mogę dojść w różne strony, Bóg wie, jak daleko. Niemi to rozpuszczam powoli życie powierzonego mi ziarnka, piszę kronikę i czekam spokojnie kresu moich rządów.

— Tak! spokojnie umrę. Robię swoje i zrobię. Mniejsza o to, że dla świata jestem waryatem. Wolę to, niż być niepotrzebnym, niż być kamieniem. Ale i kamienie same nie są martwe. Przyjdź tylko z pełnem sercem do niego, to on da ci swoje uczucie. I on ma przeszłość, życie; nie schodzi ze swojej drogi, wypełnia co mu przeznaczono; a między ludźmi są zimniejsi, nieczulsi, niepożyteczniejsi jak kamień. Pochłonęli, strawili przeszłość, a przeszłości nie dadzą jednego tchnienia. Wszystko dla nich, nic drugim od nich. Rozbiorą ci starożytną budowę na progi do swoich nędznych lepianek, a nie przyłożą się do nowej, spólnej, choćby jedną cegiełką.

— Co nas to obchodzi? albo nie mamy gdzie mieszkać?

— Wołaj do nich: ratujcie stary zamek, to pień, z którego wyrosły dzisiejsze wasze domy; bez niego nie byłoby tych waszych mieszkań; — oni ci na to odpowiędzą:

—Albo my głupi leźć pod gruzy, żeby nas pogniotły.

— Nikczemnicy! nie byłoby gruzów, żebyście wcześniej byli pomyśleli o naprawie. Oni zawsze swoje: niech się wali, kiedy czas jego przyszedł. Niech się wali!...

— Czy wy myślicie, że będziecie na to patrzeć tak bezpiecznie, jak bezpiecznie patrzycie, kiedy pająk muchę dusi? Czy wy myślicie, że przeszłość, co go stawiała, nie myślała o przyszłości nic a nic? Wiecie wy o tej tajemnicy pewnych budowniczych, którzy zakładają swoje budowy nie na martwym tylko kamieniu, ale poświęcają duchowi opiekuńczemu najdroższe czasem. głowy. Otóż przeszłość budując, daje w zakład głowę przyszłości. Ten zamek na wasze głowy założony. Wy to będziecie kiedyś odpowiadać za byt jego. Nowemu cza-

sowi potrzeba będzie tego miejsca na nowy budynek. Przyjdą robotnicy, zaczną uprzątać gruzy, będą je ciskać naokoło. Nie ufajcie w odległość. Jak widzisz górę zamkową, tak będą kiedyś lecieć i toczyć się z niej kamienie na wszystkie strony. Dostanie się od nich zarówno dalszym, jak i bliższym. Zrozumieją mię wtedy. Przyznają waryatowi rozum. Słowa waryata będą krążyły, jak pieśń prorocza. Ale biada temu, kto lekceważy niemiłe sobie proroctwa i czeka niewierny z założonemi rękoma, aż je przyszłość rozwiąże.

— Przyszłość rozwiąże, tylko że drogo trzeba jej za to płacić. A jednak żal mi tych ludzi, wielki żal.

— Oni musieli ci inaczej o mnie nagadać, bo pewnie gadali; oni muszą mię uważać jak człowieka, który już niema nic spólnego z ludźmi, najmniejszego dla nich współczucia. Nie wierz temu, oni się mylą. Powiadam ci, że codzień nad nimi płaczę, nawet śmiechem.

— Kiedy wejdę pomiędzy nich, w takie n. p. zebranie, jakie było wczoraj, kiedy spojrzę na tę młodzież, na te kobiety, na te dzieci, kiedy widzę ich szczerą wesołość, ich taką miłość dla siebie, nadzieje takie promienne, tyle przyszłego szczęścia w marzeniach, a kiedy pomyślę sobie... Nagle stanął, jakby się spostrzegł, że miał coś nadto okropnego powiedzieć, mimo to zmienił wyraz rozrzewnienia w wyraz dziwnie gorzkiego szyderstwa i równie znagła zawołał: Wtedy śmieję się im w oczy, bez żadnego względu. Niech sobie tłumaczą mój śmiech, jak im się podoba. Wszystko mi jedno. Jest to może najwymowniejsze moje słowo. Jeżeli i tego jeszcze nie pojmują, nie moja wina. Wyraźne ono dla ludzi, co mają czucie głębsze jak kołyska, wyższe jak powała sypialni, przestronniejsze jak gumno. Wyraźniejszego nie wolno mi użyć.

Na tych słowach zaszła nowa scena, która mię wprawiła w mocne chwilowe zdumienie. Machnicki był w natężeniu uniesienia, ja w natężeniu ciekawości, kiedy nagle ściemniało się: spojrzałem w okno i spostrzegłem w niem rzadkiej wielkości puhacza, z rodzaju skalnych, a w tejże chwili usłyszałem kilkakrotnie grobowe jego huknienie. Machnicki porwał się z siedzenia, nawrócił

ku ptakowi ucho z niespokojną uwagą i, nie bawiąc, zasunął proporce tak nagle, że nie spostrzegłem się prawie, jak znowu sam zostałem.

VII. Pożegnanie.

Ptak nie zaraz umilkł; słyszałem kilka razy jeszcze głos jego. Nastąpiła potem głęboka i długa cisza za zasłoną, przerywana tylko odgłosem dzwonków Machnickiego. Po pewnym czasie zasłona odchyliła się i Machnicki wyszedł w powszednim już stroju.

— Daruj, daruj, — zawołał, ściskając mi ręce ze szczerą uprzejmością, — że tak nagle przerwałem posłuchanie. Sprawy państwa przedewszystkiem, nieprawdaż? Oznajmiono mi ważną naradę, dziś jeszcze, wkrótce. Wszak słyszałeś tego ptaka? Nie bierz mi za złe, że się musimy[1]) rozstać. Sprawy publiczne przedewszystkiem. Dziś jednak czuję bardziej niż kiedykolwiek ich ciężar. Wszakże nie ostatni raz widzimy się? Spodziewam się, że odwiedzisz mię jeszcze. Przyjdź jeszcze, przyjdź jutro. Wiele, wiele mam jeszcze do powiedzenia. Co słyszałeś, to niczem jest prawie. Daj słowo, że przyjdziesz. —

Na całą tę mowę odpowiedziałem z równą szczerością, że jestem wyrozumiały na powód rozstania się, że nikt nie mógłby wziąść mu za złe tej gorliwości w dopełnieniu obowiązków, że pożegnanie go w tej chwili jest dla mnie przykre, wszakże osładza je nadzieja powtórnego widzenia się, że je przyspieszę, o ile będzie to w mojej mocy; nakoniec przyrzekłem, że jutro znowu powrócę. Po tych i podobnych im słowach pożegnania Machnicki zapalił lampę i odprowadził mię tą samą drogą aż do otworu. Przy otworze miałem jeszcze nowy dowód jego dobrego serca, łatwo lgnącego, kiedy znalazł kogoś po swojej myśli.

— Odpoczniemy tu chwilę — rzekł — zmordowałem się trochę. —

Ja jednak widziałem tylko w tem chęć pochlebną dla mnie dłuższego znajdowania się razem. Usiedliśmy na schodach. Machnicki wziął mię za rękę i mówił głosem, malującym głębokie rozrzewnienie:

---

[1]) wyd. 1842: musiemy.

— Jak mi żal, jak mi żal, że tak krótko jesteśmy z sobą — i łzy stały mu w oczach. Podobne chwile tak rzadkie są dla mnie; podobne spotkanie prawie nigdy. Wierz mi, mój przyjacielu, że tego dnia nigdy nie zapomnę; wieczniebym żałował, gdyby miał być jedynym w mojem życiu. To taka rozkosz znaleźć w tym świecie powszednim kogoś, coby cię zrozumiał, któremu całą duszę otworzyć można, bez obawy szyderstwa. Przyrzekłeś jednak, że wrócisz. Pamiętaj, wracaj; jutro, pojutrze, kiedykolwiek, tylko wróć. — Pamiętaj, że czekam, a czekanie to cierpienie i wielkie czasem. Ale jeszcze chwilę możemy być razem. —

Siedzieliśmy jakiś czas w milczeniu, przerwał je znowu Machnicki.

— Jaka szkoda, że musimy się rozstać. Nie wiem, co mię tak przywiązuje do ciebie. Może — kto wie — może ty będziesz moim następcą? Ale ty zapewne śmiejesz się w duchu z tych marzeń szalonych i ze mnie! —

Zdaje się, że ta uwaga wprawiła go w przykry stan duszy, umilkł na chwilę, zasępił się, nakoniec przechodząc w rozrzewnienie coraz głębsze zawołał:

— Nie śmiej się, przyjacielu, nie śmiej się ze mnie. Przysięgam na najświętsze tajemnicy mojej duszy, że w tem wszystkiem niema nic śmiesznego.

— O! gdybyś ty mógł przejrzeć mię na chwilę, zobaczyłbyś, co to za przepaść smutku, a jakiego smutku!—Tu łzy płynęły mu rzęsnym strumieniem. — Ale ty zstąpisz znowu między ludzi zwyczajnych: słońce mojego królestwa zajdzie dla twojej duszy; owionie cię morowe powietrze zimnego rozumu: usłyszysz znowu zewsząd: co to za waryat ten Machnicki, mieć się za króla jakiejś tam kupki gruzów! A ja ci powiadam, że każdy z nich w swoim domu jest takim waryatem, tylko, że nie mają królewskiej duszy, królewskich moich uczuć.

— O! gdyby je mieli, gdyby każdy z nich był Machnicki na swojem miejscu, wiesz, coby nastąpiło? powiem ci pod wielką tajemnicą: wkrótce powstałby jeden ogromny, nieśmiertelny król. Zapewne nie słyszałeś jeszcze o tej dynastyi? A tymczasem ona to jedynie odwiecznie tu panuje. I ja i podobni mnie byli tylko chwilowymi jej namiestnikami; ale pan prawdziwy to ona; była nim i będzie.

— O! będzie. Wiem to dobrze. Ale nie przez tych, których mieszkania widzisz dokoła po dolinach, mieszkania porządne, wykwintne; nie! nie przez tych — a sami temu winni; ale sama przez siebie, jak jest Bóg przez Boga. A wtedy kochani moi sąsiedzi, co się dzisiaj ze mnie śmieją, zapłaczą nad sobą; sami nazwą siebie, jak mnie dziś nazywają, ubiorą się sami w moją purpurę, w moją koronę, ale za późno: co dzisiaj zasługą, potem będzie karą. Moja i podobnych mnie rola skończy się; moje tronowe ozdoby wyjdą z mody; nowy król będzie olbrzym, weźmie suknie, stosowne do swojego wzrostu. Słońce mądrości i chwały milionów będzie jego koroną, przy niej reszta będzie wyglądać jak moja czapka.

— A wiesz, kiedy to przyjdzie? Na wszystko są znaki, ostrzeżenia.

— Zajrzyj do ewangelii. Chrystus dopiero wtedy zmartwychwstał Bogiem, kiedy ciało jego umarło. Wszak tak? Resztę sam sobie wytłumacz. Ty jeszcze zobaczysz to wszystko. Część tej korony dostanie się i tobie; będzie ona tak wielka, że wszystkie głowy nakryje. Ja skończę w tej, w której cierpiałem. Ja już tylko na grób pracuję: o grób was tylko proszę. Niechaj nim będzie kupa tych gruzów, ta góra. Nie potrzeba żadnych napisów. Kto popatrzy, zaraz pozna, co w niej leży: gruz olbrzymiej myśli. Z tą myślą umrę spokojny.

— Robiłem, co mogłem; nie mogę więcej. Bóg mi świadkiem, że nie mogę. Powiedzże sam, czy mogę? Może wiesz co jeszcze? Powiedz, a zrobię. —

Milczałem, odpowiedziałem łzą serdecznego wzruszenia. I w rzeczy samej, możnaż poświęcić więcej nad to, co Machnicki poświęcił? Możnaż więcej cierpieć?

— Ale ja cię nudzę za długo, a przytem obowiązki moje. Sam przyznasz, że obowiązki przedewszystkiem.

— Żegnam cię więc jeszcze raz, do widzenia. Do widzenia! pamiętaj, mój przyjacielu, mój bracie!—

Uścisnęli się z całego serca; głaz otworu podniósł się; wyskoczyłem szybko, głaz upadł, usłyszałem jeszcze głuche westchnienie Machnickiego, jak z grobu, potem cichość dokoła i gruzy.

VIII. Zakończenie.

Sam tedy był em śród gruzów. Nie byłem sam. Cały czas, przepędzony w podziemiu, zaległ pamięć, stał przed duszą, jak sen wprawdzie, ale jak sen bardzo wyraźny. Gdzie się zwróciłem, widmo Machnickiego zastępowało mi drogę; głos jego ciągle brzmiał w uszach; cała mowa jego, wcielona w postacie żyjące, fantastyczne, krążyła po duszy rojem marzeń dziwnych, gorzkich, coraz posępniejszych. Usiadłem na gruzach, pojrzałem po okolicy, a cała okolica wydała mi się, jak żebym patrzył na nią okiem Machnickiego, puściejszą, bardziej martwą, jak gruzy, śród których spoczywałem. Ścisnęło się serce, łzy mimowolne stały w oczach, bolesne szyderstwo łechtało we wszystkie uczucia, myśli urągania chwiały głową.

O nędzo czasów! mówiłem do siebie; i taki człowiek jest dla reszty świata niczem więcej, tylko waryatem? Świat go wyszydza, wytrąca z pośrodka siebie, plwałby na niego, gdyby go nie sądził godniejszym litości, jak pogardy; już to najmniej, kiedy go ma za nic. A tymczasem ten obłąkaniec czuje i myśli, jak nie czuje żaden z litujących się nad nim, jak nie myśli żaden z tych, co się mają za rozumniejszych od niego.

Oni rozumni, a on waryat! A on jednak pojął myśl, której oni pojąć nie mogą, i całe swoje życie stosuje do niej, i każdy krok jego jest jej koniecznością nieodpartą. Na chwilę nie zboczy z tej drogi; logiczność jego aż w okropność wpada, mimo to idzie wciąż dalej. Obrał sobie zawód, przyjął powołanie i nie wykroczy przeciw niemu, aż cały puhar do dna wychyli.

Taki obłąkaniec nie powinienże być wzorem dla tłumu owych bardzo rozumnych? nie więcejże on wart od nich? I dlaczegóż to wszystko robi? Poco to życie samotności, męczarni, poniżenia? Czy dla widoków osobistych? czy marzy o jakiej nagrodzie osobistej?

Nie! pełni swoją powinność, jak drzewo rośnie, jak kwiat kwitnie, jak słońce świeci; dla drugich, nie dla siebie. Ale w oczach powszedniego świata to właśnie jest dowodem obłąkania.

O! gdybyście wy wszyscy takiego pomieszania dostali, ludzkość byłaby mędrsza, szczęśliwsza, niż jest dzisiaj. Na korzyść pojedynczych rozumów rozerwaliście mądrość ludzkości, rozbiliście na miliony bryzgów jej słońce, rozgrabiliście jego okruchy, zniszczyliście wzajemnie ich powinowactwo, a przez to odebraliście każdej cząstce jej blask i ciepło, które wzajemnem tylko zasilaniem się mogą trwać i działać, odebraliście im cały przymiot ich nadziemskości.

Wy się o to nie troszczycie; wy chcecie, aby te światła były narzędziami waszych osobistych celów, aby tylko służyły waszym potrzebom, aby im tylko wystarczały, a wasze cele, wasze potrzeby są tak drobne, tak ciasne, tak poziome, że się obejdą bez niebieskiego światła i życia; ale jak długo się obejdą? zobaczymy.[1])

Chciałem wyjść nakoniec z tak niemiłego stanu i rozpogodzić umysł wycieczką w okolicę; zerwałem się, popędziłem bez celu między góry i lasy: ale świeża nawałnica tak popsuła drogi, rozmoczyła ziemię, że każdy krok po ślizkiem lub grząskiem błocie drażnił jeszcze bardziej wewnętrzne rozjątrzenie; wpadłem do reszty w zły humor i wróciłem do domu w nielepszym. Nie spomniałem nikomu o mojem widzeniu się z Machnickim, ale zdradzałem się w każdej chwili. Przymawiałem mężczyznom, gadałem niegrzeczności kobietom; tak dalece nie byłem panem siebie, że jedna z mających prawo przemawiać do mnie poufalej zmuszona była zawołać: czy pan oszalał?

Nazajutrz zabierałem się do powtórnych odwiedzin zamczyska. Dzień był piękny, obiecywałem sobie, że dla mnie będzie rozkoszny. Inaczej się stało. Odjechałem w stronę całkiem przeciwną na zawsze. Po Machnickim spomnienie mi tylko jednego dnia pozostało.

Gdyby los od mojego życzliwszy dał komu w ręce kronikę Machnickiego, niech ją nam ogłosi, przynajmniej w wyjątkach. Sądząc z tego, co czytałem, z tego, co wiem o jej twórcy, mogę naprzód zaręczyć, że będzie to dzieło rzadkiej poezyi, a przytem pełne wielkich, nowych i pożytecznych pomysłów, chociaż ubarwionych fantazyą obłąkańca; bądź co bądź jedyne w swoim rodzaju.

---

[1]) wyd. 1842: zobaczemy.

OBJAŚNIENIA.

w. 52. zamczysko — symbol Polski.

w. 1826. „wiesz o tem, że wtedy zgasł i umarł we mnie dawny człowiek, a narodził się nowy“ — porówn. śmierć Gustawa i narodziny Konrada w Dziadach Mickiewicza,

w. 1884. Stańczyk — sławny błazen czyli trefniś króla Zygmunta Starego,

w. 2008 „jeden z tłumu królewskiego, podobny strojem do Stańczyka“ — król Stanisław Poniatowski.

w. 2126. „Jestem król nad królе. Moje ziarnko rozrośnie kiedyś na świat cały.“ — Idea polska odrodzi świat (por. Widzenie ks. Piotra),

w. 2193. „Powiedziałbyś, że zamek był w podobnej chorobie...“ — aluzye do waśni za powstania listopadowego,

w. 2216. „ptak olbrzymi... przygniótł ją (stolicę) swoim ciężarem“ — Moskale zabrali Warszawę,

w. 2225. „wicher złamał tylko spróchniałą gałąź; pień drzewa nietknięty i żyje“ — kastowość szlachecka okazała niezdolność do pracy nad odrodzeniem narodu; w ludzie pozostała nadzieja na przyszłość,

w. 2288. „przyjdą robotnicy, zaczną uprzątać gruzy, będą je ciskać naokoło“ — zapowiedź przyszłej walki społecznej,

w. 2415. „nowy król będzie olbrzym, weźmie suknie, stosowne do swojego wzrostu“ — zapowiedź zwycięstwa rewolucyi ludowej.